

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 12 (1748) 22-28 marca 2024



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

You Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Chłopi nie przepuszczają. Żywemu i nieżywemu też nie, zwłaszcza drogą. W środę rolniczy strajk generalny zablokował drogi w 600 miejscach. I, co ciekawe, prawie nikt nie ma rolnikom tego za złe; według CBOS 81 proc. Polaków popiera protesty. Protestujący zęcznie podtrzymują ten nastrój, nawet gdy każą miastowym stać w korkach: w Katowicach kobitom w zatrzymanych autobusach wręczali kwiaty, a kierowcom jabłka. W nocy z wtorku na środę protestujący podpisali z wiceministrem Kołodziejczakiem kwit, który zdaniem rządu jest „porozumieniem”, a zdaniem Sławomira Łzdebskiego z rolniczego OPZZ zaledwie „uzgodnieniami”, czyli „takim pierwszym krokiem w kierunku tym, żeby poczynić następne kroki”. Postęp jest taki, że na Europejskim Forum Rolniczym w Jasionce pisowski minister Kowalczyk został rok temu obrzucony jajami, a peeselowski minister Siekierski w tym roku – nie.

♦ Jarosław Kaczyński stawiał się przed komisją śledczą ds. Pegasusa i zaczął od odmowy złożenia przyrzeczenia, że będzie „mówić całą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co jest mu wiadome”, gdyż nie został zwolniony z tajemnicy przez premiera. W odpowiedzi Tusk napisał na platformie X: „Proszę mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Przed każdą komisją i w każdej sprawie. Zezwalam” – pojawiła się wszakże wątpliwość co do tego, czy takie zwolnienie z tajemnicy państwowej ma moc prawną. Z dorobku posiedzenia komisji warto wymienić też używaną przez Jarosława w stosunku do posta Zembaczyńskiego frazę „Proszę członka”. Znamy Kaczyńskiego z żartów na temat Władysława, który mówi: „Jestem Zosia” – ale tak wprost o członkach prezes wcześniej nie rozprawiał publicznie. Interesująca była też lista osób inwigilowanych Pegasusem, wśród których Kaczyński wymieniał „przestępców wатовskich”, „przestępców w białych kołnierzykach”, „zwykłych kryminalistów”, „handlarzy narkotyków” oraz „szpiegów i dywersantów”. Dawno nie słyszeliśmy o dywersantach. Tak gdzieś od 1953 r.

♦ Onet dotarł do podsłuchu, który Daniel Obajtek miał w gabinecie w efekcie „nieformalnej akcji CBA”. Nagrało się, jak do Obajtka przyszedł redaktor Piotr Nisztor z „Gazety Polskiej”, żeby coś zrobić z jego starą, bo „najważniejsze, żeby się rozwijała dziewczyna”, a tak się w domu marnuje. „My o nią zadbamy i my to słowa dotrzynamy” – zadeklamował prezes do wiersza, po czym wyraził żywe zainteresowanie nagraniem kompromitującym Kornela Morawieckiego, ojca premiera. Nie po to, żeby to był „materiał, który kogoś zabije”, tylko „ma służyć temu, by tych skurwysynów w końcu na smycze pozawiać”. Na koniec prezes PKN Orlen podzielił się z redaktorem „Gazety Polskiej” refleksją dotyczącą różnic między rządem PiS i PO: „Te skurwysyny kradły i jeszcze stanowiska załatwiały. A my przynajmniej nie kradniemy, staramy się zrobić, żeby nasi ludzie, kurwa, zarabiali. Bo przyjdą chude lata, że będziemy musieli wszyscy przetrwać”. „Przyjdą chude lata” dla PiS! Co to prezes mówił o dywersantach?

♦ Paweł Kowal, platformerski autorytet od Wschodu, skądinąd profesor Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, tłumaczy świat. „Dzisiaj świat jest w gruncie rzeczy bardzo prosty, ponieważ odpowiedź na pytanie, czego ludziom trzeba, brzmi: bezpieczeństwa. A jak do tego doprowadzić? Więcej amunicji szybko wysłać na Ukrainę”. Oczywiście, wysyłanie coraz większej ilości amunicji w stronę zbrojnego konfliktu to najprostsza droga do pokoju. Paweł Kowal relacjonował też własną rozmowę ze swoim francuskim przyjacielem, którego zapytał, dlaczego Francja nagle stała się jastrzębiem w kwestii konfliktu ukraińsko-rosyjskiego. „Paweł, bo ja nie chcę, żeby Putin chodził ulicami Paryża” – miał odrzec francuski patriota. Wzruszenie odbiera nam głos.

♦ A propos amunicji: Polska zatrzęsa się z oburzenia, albowiem okazało się, że z puli pół miliarda euro, które Komisja Europejska przeznaczyła na zakup amunicji artyleryjskiej wyprodukowanej w europejskich zakładach zbrojeniowych, polskie firmy wystąpiły o 11 mln euro, a dostały – 2 mln. Mariusz Błaszczak zadzwili brutalnie z „Donaldą, króla Europy”, który „załatwił dla Polski całe 0,42 proc. z unijnego programu produkcji amunicji”. Atoli okazało się, że składanie wniosków do programu zakończyło się 13 grudnia 2023 r., czyli w dniu, w którym powstał gabinet Tuska. Co akurat jest datą, którą wszyscy Polacy znają dzięki uporowi, z jakim Błaszczak nazywa obecny rząd „koalicją 13 grudnia”. Dodając nóż w plecy do zniewagi, szef prezydenckiej kancelarii Marcin Mastalerek kazał Błaszczakowi „uderzyć się w piersi” na odcinku „odbudowy przemysłu zbrojeniowego”, co rozpoczęło wewnątrzpiśmowską pyskówkę. Nam najbardziej spodobał się szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego mjr Jacek Siewiera, który stwierdził, iż „wnioski o zakup amunicji ze środków europejskich zostały złożone w sposób suboptimalny”.

♦ Minister kultury i dziedzictwa narodowego pułkownik UOP Bartłomiej Sienkiewicz znowu wykazuje się twardestwem. Po tym, jak pogromił pisowską telewizję, teraz wziął się za katolskie czasopisma. „Pisma, które zajmują się zbawieniem ludzkich dusz, nie będą dostawały pieniędzy podatników, ludzi różnych wyznań i niewierzących. Jako minister świeckiego państwa gazetek diecezjalnych i zakonnych finansować nie będę. Polacy mają prawo wiedzieć, ile pieniędzy zostało zabranych z ich podatków i przetransferowanych do Kościoła katolickiego, po to żeby funkcjonariusze Kościoła katolickiego wspierali władzę PiS-u” – orzekł minister i dodał nie bez satysfakcji, że „Kościół płaci za swoją hipokryzję i polityczną sprzedażność”. Ciągłe twierdzenie, że zapisanie Kościoła do PiS przez prezesa Kaczyńskiego – „Brońmy kościołów za wszelką cenę” – było bezcennym darem dla świeckiego państwa.

AWŁ

Z URNY URBANA

Wybory prezydenckie w Rosji, wciąż trwająca wojna za naszą południowo-wschodnią granicą i coraz większa paranoja na rosyjską wojnę z państwami NATO – to dzisiejsza rzeczywistość. Przypomnijmy refleksje Urbana na ten temat w felietonie ze stycznia 2019 r.

Niech żyje Rosja!

Wierzę moskiewskim funkcjonariuszom, gdy mówią nieoficjalnie, że Rosja jest Polską bardzo niezainteresowana. Po raz pierwszy od stuleci. Być może za to właśnie urzędowa Warszawa zaciekle nienawidzi Rosji. PiS wzmogło te uczucia. Są już wszechogarniające wszystko, co rosyjskie.

Po dwóch latach i ośmiu miesiącach aresztu wypuszczono zza krat Pawła Piskorskiego, szefa partii Zmiana. „Gazeta Wyborcza” napisała o jego sprawie, ale że jest ona tajna, wiedzę ma niepełną. Obwiniony został o szpiegostwo. Wedle mojej wiedzy pobranej z obfitej literatury faktu szpiegostwo polega na zbieraniu tajemnic jednego kraju i przekazywaniu ich drugiemu. Zdaniem „Gazety” Piskorski tego nie robił. Tutejszy kodeks karny określa jednak jako szpiegostwo „branie udziału w działalności obcego wywiadu”. Udział w działalności to pojęcie nieostre. Według litery prawa skazać by trzeba polskich szpiegów, którzy u zarania wojny w Iraku na zlecenie CIA wywozili z tego kraju amerykańskich wywiadowców.

Prokuratura zarzuca Piskorskiemu zajęcia nieprzestępcze: oddziaływanie na grupy społeczne, promowanie celów Rosji, próby kształtowania opinii społecznej. Propisowscy dziennikarze czynią to samo na rzecz USA i Trumpa. Jednak szef Zmiany miał brać pieniądze od rosyjskiego wywiadu, co już raczej stanowi w nim udział. Wywiady Zachodu czy bliskowschodnie nie płacą bezpośrednio obcokrajowcom, których inspirują, lecz czynią to za pośrednictwem różnych fundacji czy organizacji kulturalnych, gospodarczych i naukowych. Nikt nie śledzi całego przepływu pieniędzy. Tak też bywało w PRL. Politykę rządu atakowała hiperlewicowa i rasistowska organizacja Grunwald. Pojawiły się zeznania, że finansuje ją ambasada Syrii. Dysponenti kontrwywiadu nie pozwolili mi iść tym tropem. Zarzuty agenturalnego typu nigdy nie są stawiane we-

dle prawa, lecz podług politycznego interesu lub jego braku. Czyni Zmiany zamglone są zaś tajemnością dokumentacji śledczej. Cokolwiek w niej jest, nad tym procesem unosi się chmura paranoi politycznej PiS. Partia ta działa w rosyjskim interesie, gdyż zwalcza integrację Europy. Moskwa pragnie bowiem mieć stosunek z każdym krajem Zachodu z osobna, a nie ze sfederalizowanym kontynentem górującym nad Rosją potęgą.

To czyni PiS. W warstwie propagandowej odwrotnie – partia sieje niechęć do Rosji i wszystkiego, co rosyjskie. Niszczy pomniki, hejtuje imprezy kulturalne nawet tak bliskie naszym nacjonalistom w formie jak chór wojskowy i orkiestra dęta. To Polska zbudowała między sobą a Federacją Rosyjską mur, ale nie jest on lity, bo zawiera przepusty dla nienawiści.

Z Polski wymieciono język rosyjski, co o tyle nie dziwi, gdyż piękno jego brzmienia samo przez się uraża użytkowników polskiego narzecza. Z Polski wyrugowano wielką rosyjską literaturę, a także w znacznym stopniu muzykę. Każda prorosyjskość uchodzi za zdradę stanu. Wycieczka pobliska nam Wołgą ma zaporową cenę ponad 10 tys. zł. To więcej, niż płaci się za wyjazd do krajów dalekich i egzotycznych. Zwykłych Polaków odseparowano od takich Rosjan. Szwendamy się po świecie, wymieniamy klasy szkolne z zachodnimi ich odpowiednikami, a jako pojedynczy turyści lub emigranci zadajemy się z cudzoziemcami. Nawet jednak masowe dziś więzi internetowe nie obejmują Rosjan. Wielki, chłonny rosyjski rynek uczyniono zaś trzeciorzędnym dla polskich eksporterów. Zburzony berliński mur wcale nie został rozwalony. Polska go zabrała i przeniosła na wschód Europy.

Warszawa nie chce wierzyć w niezainteresowanie Kremla Polską. Twierdzi, że Rosja zagraża istnieniu naszego państwa, a w każdym razie pragnie przywrócić jego satelarność. Owszem,

w 1989 r. i potem Moskwa z zalem rozstawała się ze swoim imperium, ale czyniła to także z ulgą. W latach 80. XX w. sponsorowanie w Polsce socjalizmu było już bowiem ponad siły Związku Radzieckiego. Rosja żegnała się z wpływami na „bliską zagranicę”, ale także z ciężącym na niej brzemieniem. Słodziło to jej rozstanie z imperium. PiS myli się, sądząc, że Moskwa rada by znów wziąć sobie na kark kłopotliwą i kosztowną Polskę. Nie pragnie tego, nawet gdyby mogła. Z politycznego punktu widzenia karne ściganie u nas Piskorskiego wydaje się więc strzelaniem rakietą do muchy.

Gdy leci amerykański film i mafioso na ekranie odzywa się po rosyjsku, odczuwam z nim bliskość. Tęsknię za Rosją, chociaż byłem w niej tylko cztery razy – krótko. Mogę teraz w każdej chwili tam pojechać, ale Rzeczpospolita sprawiła, że nie mam po co. Nie znam tam żadnych ludzi, języka, stosunków, niczego tam nie zgubiłem i nie znajduję. Jedyna dwójka moich rosyjskich przyjaciół mieszka w Czarnogórze.

Mój dziadek ze strony matki był polskim Żydem z Białej Podlaskiej. Jego żona, a moja babka – rosyjską Żydówką z białoruskiego Mińska. Oboje mówili po polsku i po rosyjsku. Zamieszkiwali to samo państwo. Byli poddanyymi tych samych carów. Mieli za sobą te same lektury szkolne. Nic ich nie różniło. Dziś jako młodzi mogliby się spotkać raczej tylko w niemieckim burdelu.

W roku stulecia polskiej niepodległości nie wyrażam tęsknoty za światem, który przeminął. Nie, tęsknię za takim, jakim mogliby być. Rosjanie mawiali: *Kurica nie ptica, Polska nie zagranica*. Urażliwia i pamiętliwa Polska chce więc Rosji pokazać ptaka. Nie jest nim orzeł, którym się pieczętuje, lecz kłótlivy wróblek.

URBAN



Facebook

Grzegorz Gwóźdź: Nie pora na takie dyskusje, ale generalnie zawsze wolałem Prokopa.

Jeremiasz Wojak: Do tego musimy usiąść na spokojnie, to trzeba przemyśleć.

Monika M. Grabowska: Nie mogę się wypowiedzieć od razu, na szybko, bo obawiam się, że moja opinia zostałaby wtedy wyrzucona do kosza.

Anna Maria Pantera: Dokładnie to samo co na początku, mnie nie zwiódł ani nie zaskoczył.

Bartek Orzeł: Współczuję wszystkim, którzy w chłopie płaczącym, czytając konstytucję, widzieli męża stanu.

Bartek Orzeł: Niepotrzebnie płakał nad konstytucją – świat nie wierzy łzom.

Marcin Wałęcki: Trzeba by zrobić w tej sprawie referendum.

Daniel Len: Myślę, że temat prezydentury to sobie wyabortował...

Kuba Kuniszewski: Wróćmy do tego tematu 10 kwietnia.

Konrad Czerski: To zależy, jak na to spojrzeć, bo na tle Witek czy Terleckiego to wypadł super.

Wi De Lec: Niedobrze by było, gdyby temat naszej opinii o marszałku Hołowni zdominował debatę w kampanii samorządowej...

Maciej Dadej: Katabas bez koloratki.

Paweł Marcin: Póki się nie obnosi z tym całym katolicyzmem, to nie widzę problemu, u siebie w domu niech sobie robią, co chcą.

Piotr Dąbrowski: Że w końcu powinien wziąć ślub z Kosiniakiem.

Bartłomiej Bednarz: Raz ministrant, forever ministrant.

Eugeniusz Rezmer: Miał talent.

Forum

BOG: Taki arcybiskup sejm.

PRASA ŚNIADANIOWA

♦ „Gazeta Polska” sprzedaje koszulki z hasłem „Ruda Wron-a Orła nie pokona”. Przypominamy odpowiedź do hasła: „Żyrafy wchodzą do szafy”.

♦ **Mateusz Morawiecki** przyznał, że jego ojciec nie był wiernym mężem. Oto mrowane miejsce pierwsze w konkursie Viva Najsmutniejszy.

♦ **Jarosław Kaczyński** powiedział, że nocny stróż niedołęga wraca jako nocny rabuś. Prezes wypłynął na suchego przestwór oceanu.

♦ **Antoni Macierewicz** stwierdził, że Tusk jest uzależniony od Putina. Chodzi o to, że wciąga Putina nosem?

♦ W Niedziela.pl **Witold Gadowski** pisze o „aborcji” polskości. W konsekwencji której następuje sztuczne zapłodnienie niemieckością.

♦ **Kardynał Kazimierz Nycz** stwierdził, że pokój jest sumą małych pokojów. Najważniejsze, po ile metr kwadratowy.

MARTA M.



Fys: TOMASZ WIATER

W dniu, w którym weszły przepisy pozwalające policji odbierać samochód za jazdę po pijaku, policjanci z Krotoszyna zatrzymali narąbanego w 3 promile kierowcę.

W pierwszej wersji facet został ukarany, czym się da, w tym konfiskatą auta. W drugiej wersji policja oddała mu wózek już następnego dnia. Jest i trzecia wersja mówiąca, że kilkuletnie, Bogu ducha winne volvo zostało przez policję internowane. Nie mając bowiem przepisów wykonawczych do nowego prawa, policjanci – na wszelki wypadek – potraktowali auto jako dowód rzeczowy i zapuszkowali je na policyjnym parkingu. Teraz będzie tam stało do czasu, aż kierowca przyjdzie z cwanyym adwokatem i je odzyska. Albo nie przyjdzie i wózek będzie rdzewiał, czekając na rozprawę sądową.

Mecenasi zacierają więc ręce, bo z jednej strony podważają konstytucyjność przepisów o przepadku, ale z drugiej strony, z powodu opublikowania w „Dzienniku Ustaw” domniemują, że nowe prawo obowiązuje. Lecz tylko do czasu stwierdzenia jego niekonstytucyjności, zmiany lub uchylenia.

Przepisy o konfiskacie samochodu przez kilka dni przed wejściem w życie hitem wszystkich telewizji informacyjnych. W sondach ulicznych wypowiadali się ludzie pomstujący na miliony pijaków z kierownicą zabijających tysiące Polaków. Byli rzecznicy prasowi drogówki prześcigali się w opowieściach o pladze narąbanych szoferów niosących śmierć na polskim asfalcie. Ani jeden dziennikarz czy ekspert nie zająknął się nawet o tym, że strasznie promilami na drodze to to samo co opowieści o czarnej wołdze albo o Babie-Jadze.

Bardziej niż w porzo

Statystyki są bezwzględne dla wprowadzających kolejne absurdalne kary. W roku 1991 w Polsce wydarzyło się 54 038 wypadków drogowych, w których zginęło 7901 ludzi. Gdy w 2004 r. wchodziliśmy do Unii, wypadków było już 51 069, a ich śmiertelnych ofiar – 5712. W 2012 r. na drogach śmierć poniosło 3571, a w 2019 r. – 2909 osób. Jak widać, statystyki kolizji i śmierci leciały na pysk. Ale wcale nie tylko z powodu kar, lecz głównie dlatego, że Polacy mogli wreszcie jeździć autostradami i ekspresówkami. Mimo że dopuszczalne prędkości na nich są znaczne, to w 2022 r. wypadków na nich było mniej niż 2 proc. wszystkich kolizji. To właśnie dzięki tym bezpiecznym drogom wypadkowość spada najbardziej. I dlatego w 2023 r. na polskich drogach doszło do 20 340 wypadków, a zginęło 1669 osób.

Na lata 2021–2030 Unia Europejska przyjęła za cel obniżenie liczby ofiar śmiertelnych, a także poważnych obrażeń w wyniku wypadków drogowych o 50 proc. Celem długofalowym Brukseli jest idiotyzm, czyli całkowite wyeliminowanie wypadków śmiertelnych do 2050 r.

Polska więc spełniła już unijny warunek, i to z nawiązką. Bo o ile w 2012 r. liczba ofiar wypadków drogowych na milion mieszkańców w Polsce wynosiła 93 osoby, to w zeszłym roku – nieco ponad 44. Pod względem bezpieczeństwa na drogach plasujemy się w środku unijnej stawki.

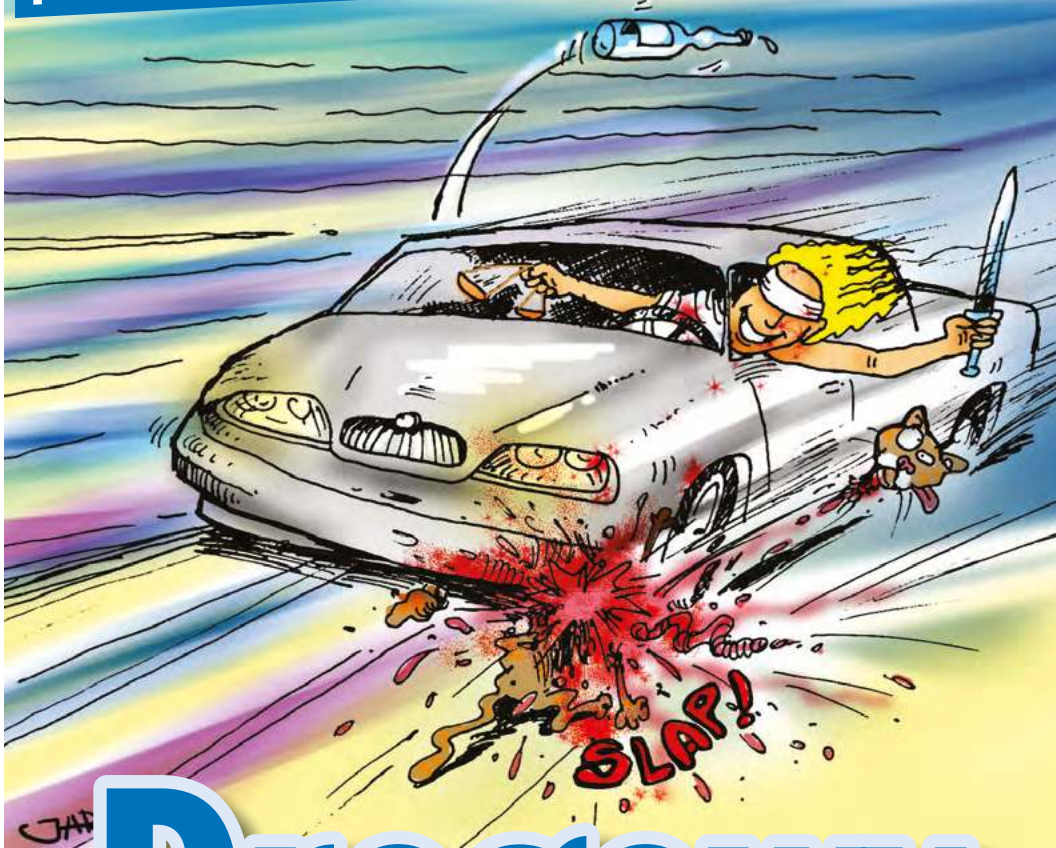
A pamiętać trzeba, że w roku 2013 zarejestrowanych pojazdów w całym kraju było 25 683 575. Na koniec 2022 r. Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców (CEPiK) naliczyła ich już 34 866 137, co oznacza wzrost aż o 35,7 proc. Ponad 9 mln dodatkowych pojazdów na polskich drogach nie przełożyło się na wzrost liczby wypadków drogowych, a wręcz przeciwnie, co o polskich kierowcach świadczy całkiem dobrze.

Natomiast jeśli chodzi o alkohol za kierownicą, to jesteśmy jeszcze bardziej niż w porzo. W 2022 r. na polskich drogach pijani kierowcy spowodowali 1415 wypadków drogowych, czyli 7,3 proc. wszystkich. 65 proc. tych wypadków to wina pijanych kierowców aut osobowych, a reszta to sprawka narąbanych rowerzystów, traktorzystów, tirowców i pieszych. Na niemal 1900 osób, które zginęły na drogach, kierowcy pod wpływem zabili 172 osoby.

W raporcie Komisji Europejskiej stoi jak byk, że w 2022 r. w Polsce zaledwie 0,3 proc. kontrolowanych przez policję kierowców przyłapano na prowadzeniu pojazdu, gdy mieli we krwi większy niż dopuszczalny limit alkoholu. W Europie mniejszy wskaźnik ma tylko Łotwa – 0,2 proc. Rekordzistami w jeździe po pijaku są kierowcy z Luksemburga – 2,6 proc. i Hiszpanii – 2,4 proc. Wniosek jest prosty: polscy kierowcy mogą być wzorem dla użytkowników dróg w całej Europie.

Mogłoby być jeszcze lepiej, bo przecież u nas za jazdę pod wpływem uznaje się stan, w którym stężenie alkoholu we krwi kierowcy wynosi 0,2–0,5 promila. W większości krajów UE najniższą dopuszczalną granicą jest 0,5 promila. Takie limity obowiązują np. w Austrii, Belgii, Niemczech, Holandii, Francji, Danii, Luksemburgu czy Włoszech. Jeśli zatem ok. 60 proc. polskich złapanych przez policję pijanych kierowców wydmuchuje poniżej 0,5 promila, to

Im mniej wypadków powodują polscy kierowcy, tym bardziej są karani.



Drogowy spadek po PiS-ie

– według standardów zagranicznych – polscy kierowcy są nawet dwakroć mniej pijący niż najtrzeźwiejsi Łotysze.

Kolej na drogi

Wygląda zatem na to, że przepisy drogowe w Polsce działają. Po co więc co chwila zaostrza się kary i podnosi ceny mandatów? Ano – właśnie dlatego.

Polacy, przestrzegając przepisów, popełniają coraz mniej wykroczeń. Policja nie ma więc za co karać mandatami, co powoduje zmniejszenie wpływów do budżetu.

W zeszłym roku z nałożonych przez policję mandatów państwo zyskało ponad 1,3 mld zł. Mniej więcej tyle samo, ile w roku 2022. Rok wcześniej budżet państwa został z tego tytułu zasilony ledwie 692 mln zł. Gdyby jednak porównać mandaty nałożone w 2022 r. do tych rok później, to po pierwsze, jest ich znacznie mniej, a po drugie, są znacznie wyższe.

Bez podnoszenia kar narzucone drogówce plany finansowe byłyby nie do zrealizowania. Bo tylko do drenowania kieszeni polskich kierowców – a nie do poprawy bezpieczeństwa – sprostawała się pisowska filozofia eskalacji sankcji.

Nie wierzyć? No to może zacznijmy od Pendolino. Każdy skład generuje rocznie na biletach więcej, niż sam kosztuje. A to stąd, że ceny biletów na te pociągi są wzięte z kosmosu, a na dodatek na trasach, które obsługują, są de facto monopolistami. Jeszcze kilka lat temu cena biletu była skalkulowana na takim poziomie, że z Warszawy do Krakowa i z powrotem opłacało

się jechać Pendolino dwóm osobom. Przy trzech lepiej było skorzystać z własnego samochodu. Dziś własną bryczką opłaca się jechać już w pojedynkę.

Gdyby bandyckie ceny biletów były skalkulowane tak, że trzy bilety kosztowałyby tyle, co paliwo, to ile osób wybrałoby pociąg? O ile mniej byłby ruch na drogach i wszystkie związane z tym koszty bezpieczeństwa, ekologii i czego tam jeszcze? Nikt nie przekona mnie, że za miejsce w pociągu mającym 420 foteli trzeba płacić tyle, ile za benzynę na tym samym dystansie.

Fiskalizm przydrożny

Kierowcy byli za PiS wysyłani na drogi w celu zarobienia na nich przez państwo. Jadącego pociągiem osobnika nie można przecież skasować za przekroczenie prędkości. A oficjalny taryfi-

kator policji mówi, że gdy samochodem jedziemy szybciej od limitu o 1 km/godz., to mandat wynosi 50 zł. Ale gdy przekroczymy prędkość o 31 km/godz., to z kieszeni wypływa nam już 800 zł. Chyba że wcześniej złapano nas za to samo – wtedy mandat wynosi 1600 zł. Najwięcej płacić ci, którzy jadą za szybko o 71 km/godz. Kara wynosi 2500 zł, a przy recydywie – 5000 zł.

Pasażera Pendolino gliniarz nie skubnie też za naruszenie tego, co oznacza prostokątny znak, w którym na białym tle są zabudowania, mówiący, że trzeba jechać z prędkością do 50 km/godz.

Policja ustawia znak o wjeździe w teren zabudowany według swego uznania. Bardzo często jakiś kilometr od pierwszego budynku, czyli gdzieś jeszcze w polu lub lesie. Potem zaś zaskada się z radarem kilkadziesiąt metrów dalej. Jak ktoś przegapił znak i jest nieświadomy, że rosnące wokół drogi dęby lub pszenica to zabudowania, ciśnie gaz. A jeżeli policyjny radar pokaże, że ciśnienie wyniosło 101 km/godz., to płaci się horrendalny mandat i traci się od razu prawo jazdy.

Całkiem niegłupim przepisem jest ten obligujący do jechania za autem w odległości takiej jak wskazanie na liczniku, tylko w metrach. Stąd na autostradzie trzeba podążać za kimś jadącym 140 km/godz. w odległości 140 m. Prawo takie powinno nauczyć czegoś debili siedzących innym na zderzaku i przy najdrobniejszym hamowaniu wjeżdżającym nam w tyłek. Tyle że przepis ten jest martwy i służy tylko do kasowania kierowców przez policję. Przecież żaden samochód nie jest wyposażony w czujnik pokazujący, jak daleko przed nami jedzie inne auto. Gliniarze o tym wiedzą i nie wahają się karać wysokim mandatem za coś, czego kierowca nie jest w stanie zakwestionować. Znaczy, że zamiast 90 m dystansu było 70.

Haki na kierowcę pisowscy policjanci mieli znajdować na siłę. Po to wpisano do prawa drogowego przepisy rodem ze Stanów Zjednoczonych, gdzie każdy wozi ze sobą spluwę. To dlatego kierowcy, który nie będzie trzymał obu rąk na kierownicy albo co gorzej w czasie kontroli wyjdzie z samochodu, grozi parę stów mandat. A ponieważ nie da się trzymać obu rąk na kółku, gdy jedną z nich otwiera się szybę, żeby usłyszeć policjanta, to powód do ukarania już jest. Drugi też, bo gliniarzowi trzeba będzie jakoś podać dokumenty. A za każde kolejne wykroczenie stawka mandatu rośnie dwukrotnie.

To za PiS gliniarzom powyciągano prerogatywy dawno przez nich nie stosowane. Mieli sprawdzać, czy układ kierowniczy nie ma luzów albo czy w dowodzie rejestracyjnym jest atest na przyciemniane szyby. No i coś, co każdego posiadacza klimatyzacji od razu latem czyni winnym – sprawdzenie, czy nic nie wycieka. Czyli olej, płyn hamulcowy albo paliwo. Ale przecież żaden funkcjonariusz nie będzie się wczółgiwał pod auto. Kuca, widzi, że coś kapie, i wykroczenie skutkujące mandatem już ma. A że to coś to po prostu woda z klimatyzatora? Taki detal kierowca może udowodnić dopiero wtedy, gdy niesprawny z powodu wycieków samochód odstawi lawetą do stacji obsługi i otrzyma tam stosowne zaświadczenie o sprawności pojazdu. A będzie ono niezbędne do odzyskania w urzędzie dowodu rejestracyjnego zatrzymanego z powodu niesprawności. Odzyskania, które trzeba stosownie opłacić.

Platforma Obywatelska od lat darła łachy z pisowskich restrykcji drogowych. Lewica równie długo dopominała się o tańsze bilety w komunikacji zbiorowej. Ekolodzy cisnęli na ograniczanie pustych przewozów osobowych. Teraz to towarzystwo jest u władzy i ogłupia, i łupi obywateli całkiem jak jego poprzednicy.

TOMASZ BOROWIECKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Artur Soboń przejdzie do historii (no, do historyjki) Polski jako twórcy metody Sobonia, która wydawała mu się najlepszym sposobem na pokazanie środkowego palca sejmowej komisji śledczej do spraw wyborów kopertowych. „Wszystko, co miałem do powiedzenia, zawarłem w swobodnej części wypowiedzi” – powtarzał Soboń podczas przesłuchania 19 stycznia, myśląc, że jest co najmniej tak cwany, jak prawie dwa miesiące później będzie myślał, że jest cwany, prezes Kaczyński w czasie przesłuchania przed inną komisją śledczą: do spraw Pegasusa.

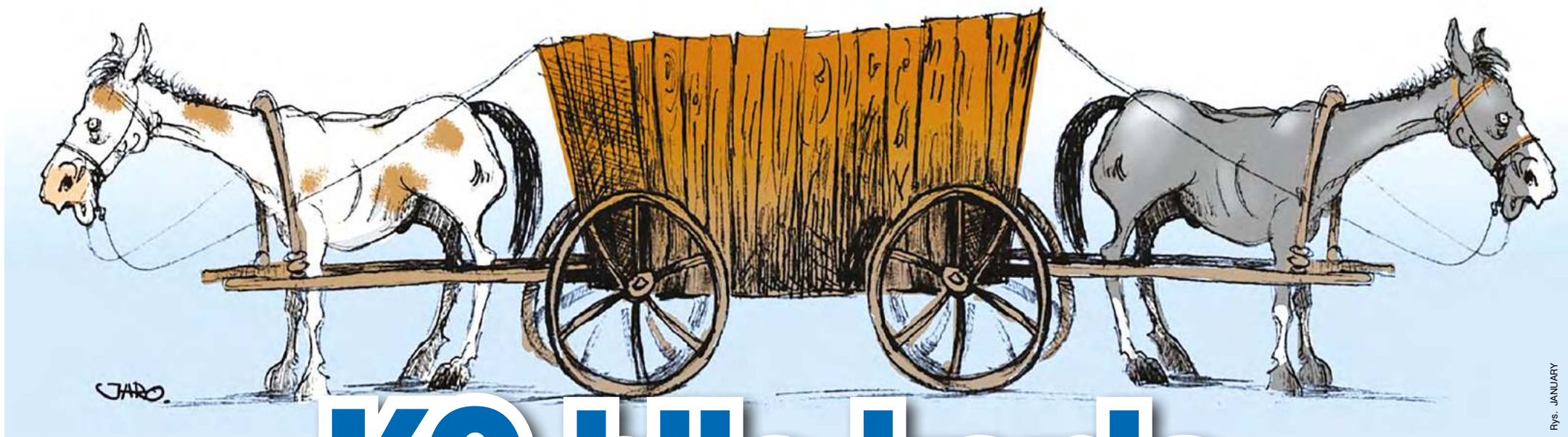
Fraza „rznąć Sobonia” nie przeszła jednak do historyjki polszczyzny jako synonim przebiegłości, lecz raczej jako oznaka beczelności.

18 marca, podczas powtórnego przesłuchania przed komisją do spraw wyborów kopertowych, Soboń postanowił uderzyć w inny cymbał. „Należy mi się szacunek jako świadkowi” – powiedział między innymi.

Chyba, kurwa, kpił...



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



KO bije konia

Befszyk po tatrzańsku.

Zdawałoby się, że po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy debata polityczna sięgnęła dna, jednak w wielkim błędzie jest ten, kto pomyślał, że za rządów „uśmiechniętej Polski” nie można zrobić w nim drugiego odwrotu. 12 marca odbyło się posiedzenie parlamentarnego zespołu ds. strategicznego rozwoju polskiego jeździectwa i hodowli koni poświęcone przyszłości transportu konnego na trasie do Morskiego Oka.

Dzięki posłankom Koalicji Obywatelskiej dyskusja stoczyła się po gnoju, a wólskie organizacje prozwierzęce zainteresowane losem kopytnych, które dzięki harówce w turystyce wyglądają jak po przesłuchaniu w esbeckiej katedrze, wpadły prosto w obornik.

Dupa z wozu...

O koniach z Morskiego Oka zrobiło się głośno w 2009 r., kiedy na Polanie Włosienica, zachęcani ciągnięciem wozu z dupami leniwych turystów, koń Jordek odwalił kitę na oczach licznych świadków. Nieszczęśliwym dla fiaków zbiegiem okoliczności nagranie konającego zwierzęcia trafiło do internetu i zrobiło niemałą furorę. Hasło „silny jak koń” straciło nieco na świeżości w obliczu kolejnych licznych świadectw katorzniczej pracy zwierząt na trasie do Morskiego Oka i jest dziś zdecydowanie przerośniętym eufemizmem.

Kiedy tsunami społecznego oburzenia osiągnęło moment krytyczny, Tatrzański Park Narodowy (TPN) zaczął zlecać wykonywanie ekspertyz, czyli przeliczanie tego, ile konie na trasie mogą ciągnąć, żeby do reżni trafiły na własnych kopytach, a nie zeszkrobane z asfaltu. Coby nie podsycać lamentu, warto podkreślić, że przerabianie byłych czworonożnych pracowników na kabanosy to nie jest standardowa procedura. Z opublikowanego przez Fundację Viva! w 2023 r. raportu „Cierpienie, którego nie widać” wynika, że w ciągu 10 ostatnich lat pod nóż trafiło jedynie 61 proc. koni wycofanych z tej popularnej trasy. Aby być dokładnym – 433 sztuki. Sam 300-stronicowy raport to efekt

10-letniej napierdalanki ekologów z fiakrami i TPN, której końca nie widać.

Z danych zebranych przez Fundację Viva! i naukowców wynika, że konie pracujące na trasie do Morskiego Oka są zbyt przeciążone i żyją średnio 11 lat, a po trzech latach pracy są tak zmordowane, że finalnie lądują w garmazerce. Fiakrzy traktują ekologów i ich wnioski jak przewlekłą niedogodność, a problem zajęchanych chabet uważają za abstrakcję. Koński serial ma więcej odcinków niż Polska kilometrów autostrad i jak twierdzą ekolodzy, liczy 30 ton akt leżących w prokuraturze, które ze zmianym skutkiem nabijają punkty każdej ze stron konfliktu.

Zmiana ekipy rządzącej rzuciła cień nadziei na likwidację tatrzańskiej atrakcji turystycznej. Ku zdziwieniu strony społecznej sprawa, zamiast ruszyć z kopyta, wyjeżdżała się jak bosy koń na gołoledzi.

Pańskie oko...

O tym, na którym zakręcie okężnicy politycy mają obrońców praw zwierząt, mógłby świadczyć sam fakt, że z posiedzenia zespołu parlamentarnego zrobił spotkanie – jak mawia episkopat – *in modo privato* z fiakrami i pozostałymi przedstawicielami branży: hodowli i jeździectwa sportowego. Społecznicy o tajnym spędzie dowiedzieli się przypadkiem. To bardzo nieuprzejme ze strony gospodarzy spotkania, biorąc pod uwagę, że na 16 członków około-konńskiego zespołu parlamentarnego aż 14 należy do tzw. Koalicji Obywatelskiej. Jak pokazał dalszy rozwój wypadków, KO z poszanowaniem obywateli ma tyle wspólnego, ile PiS z prawem i sprawiedliwością.

W tym momencie śp. Jordek mógłby puścić nadgniłe oczko do zainteresowanych, bo polityczne seppuku ekipy Tuska, podobnie jak przed laty koński zgon pod Tatrami, skwapliwie zarejestrowały kamery.

Przedsmak tego, jak różna od wymiany czułości będzie to debata, dała Joanna Kluzik-Rostkowska, pytając od drzwi, o co jest awantura i jaka idea stoi za tymi „histerycznymi” apelami, czym przemodelowała obrońców praw zwierząt na mieszczańskich ekoterrorystów, którzy tyły swoich beemwic zdobną naklejkami o różnych bieżących kryzysach humanitarnych.

„Každy, kto ma konia, wie, że koń musi mieć ruch. Dawno temu były sytuacje, że na wozy wsiadało więcej niż 12 osób, ale rozmawiamy o głębokiej przeszłości. Obecnie konie większość drogi pokonują stępem, jedynie krótkie odcinki klusem. Jeśli państwa tak interesuje los koni, zachęcam do sprawdzenia, jak konie pracują w szkołkach” – mówiła. Argumentowała również: „Te wasze informacje są oparte na fałszywej przesłance, próbowaniu wytłumaczenia całej Polsce, że konie wielce cierpią. Nie daj Boże, pot z nich spłynie. Ja jeżdżę konno od 20. roku życia, wiele koni przez moje ręce przeszło i muszę was zapewnić, że koń w treningu się poci”.

Urokowi historii o wprawnych rękach posłanki i jej bogatym doświadczeniu nie uległ obecny na posiedzeniu prof. Michał Urbaniak, kognitywista i psycholog zwierząt z Katedry Etyki Ogólnej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowiec przytoczył badania, według których konie oczywiście potrzebują ruchu, jednak niekoniecznie w formie katorzniczego zapierdolu serwowanego przez zakopiańskich fiaków. „Badacze z Centrum Ba-

dań nad Dziką Przyrodą określili, jaki rodzaj ruchu jest koniom potrzebny. To lokomocja, jaka rozkłada się procentowo na eksplorację, na poszukiwanie jedzenia, zachowania afiliacyjne, pielęgnację siebie i towarzyszy oraz rytuały towarzyszące w ogóle” – wyliczał i dodał: „Koń jest wyjątkowo płochliwy, uciekający. Ma zapotrzebowanie na przemieszczanie się, ale nie na fizyczną pracę ciągnięcia fiasągów”.

Próbę przedstawienia przez obrońców zwierząt danych z raportu i resztę naukowych niedogodności jednym zdaniem zdevaluowała partyjna koleżanka Kluzik-Rostkowskiej Jagna Marczałajtis: „Papier wszystko przyjmie”. Powołując się na swoje doświadczenia z dzieciństwa na Podhalu, zapierała się jak wół, że „górale kochają konie bardziej niż własne baby”. Zapierdolu koni z Morskiego Oka broniła również posłanka Alicja Chybička, argumentując, że „koń jest upiększeniem krajoobrazu”, a co więcej, „jest zwierzęciem, które lubi pracować” – najbardziej te pod rękami posłanki Kluzik-Rostkowskiej, chciałoby się złośliwie dopowiedzieć.

Niemniej mimo całej gamy słusznych argumentów, badań i opinii najbardziej w całym galimatiasie dupy dali sami ekolodzy. Kto przy zdrowych zmysłach mógłby uwierzyć, że Koalicja Obywatelska w obronie podkutego mięsa podniesie ciupagę na Podhale? Bądźmy poważni.

Koń lubi owies, a sęp padlinę

Podczas ubiegłorocznej kampanii wyborczej z racji, że nie wszystkie partie jasno określiły swój stosunek do kwestii ochrony zwierząt, Stowarzyszenie Otwarte Klatki zdecydowało się zadać im pytanie, jaki jest ich stosu-

nek do pięciu oczekiwanych postulatów dotyczących dobrostanu zwierząt. Chodziło o zakaz hodowli zwierząt na futra, odejście od hodowli zwierząt w klatkach, zakaz ras szybko rosnących w hodowli kurczaków na mięso, powołanie rzecznika ochrony zwierząt i wprowadzenie regulacji ograniczających koncentrację ferm przemysłowych. Wśród partii, które nie udzieliły odpowiedzi, znalazła się Koalicja Obywatelska, mimo strukturalnie bogatego zaplecza, czyli romansu z Zielonymi, Nowoczesną i Inicjatywą Polską, które deklarowały działania prozwierzęce. W 2020 r. Platforma Obywatelska pod pretekstem walki z ASF całkowicie poparła ustawę „lex Ardanowski”.

Żeby zostać fiakrem, trzeba między innymi być zameldowanym na terenie gminy Bukowina Tatrzańska i wyrobić specjalną licencję, którą wydaje Tatrzański Park Narodowy. Miesięczny koszt glejtu to 1500 zł. Aktualnie furmanów jest około 60, co w przeliczeniu na 12 miesięcy daje ok. 1 mln zł, a to konkretny wpływ do kasy TPN.

Rozmowy o odcięciu od finansowego państwa wyborów samorządowych byłyby dla rządu koalicyjnego nie tyle strzałem w kolano, ile w potylicę.

Viva! przypomina, że 68 proc. Polek i Polaków chce likwidacji transportu konnego do Morskiego Oka. Koalicja Obywatelska widzi na stole zgola inny od konńskiego interes.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Dyrektor szkoły podstawowej w Grabinach (woj. podkarpackie) wyniósł ze szkoły 12 tabletek, 12 mikroskopów, osiem laptopów, trzy drukarki, ekran projekcyjny, dwa aparaty fotograficzne, dwa mikrofony, rzutnik, kamerę, niszczarkę, gilotynę i dwie pary słuchawek. Większość z tych dóbr zastawił lub sprzedał w lombardzie. Potrzebował pieniędzy na zapłacenie rat kredytu mieszkaniowego, którego po ostatnich zmianach stóp procentowych zarządzonych przez Głapińskiego nie był w stanie spłacać z nauczycielskiej pensji. Za naszych młodych lat takie sprawy były nie do pomyślenia. Ale to dlatego, że nie było jeszcze tabletek i komputerów oraz kredytów hipotecznych z prawdziwego zdarzenia.

■ Państwowa Komisja Wyborcza podała stawki diet za pracę w komisjach podczas najbliższych wyborów samorządowych. Przewodniczący obwodowych komisji zarabia 900 zł, zastępcy – 800 zł, członkowie – 700 zł. W przypadku terytorialnych komisji wyborczych prze-

wodniczący dostanie 1500 zł, zastępca – 1400 zł, członkowie – 1300 zł. Wynagrodzenie zmniejsza się w przypadku drugiej tury wyborów – o połowę. Bycie członkiem komisji daje zwolnienie od pracy w dniu głosowania i liczenia głosów, a także w dniu następującym po zakończeniu liczenia. Członkowie mogą otrzymać zwrot kosztów podróży własnym pojazdem lub środkami transportu publicznego w dniu wyborów.

■ Stanisław Odbiezałek pobił rekord Guinnessa w pływaniu pod lodem. Pod lodem na norweskim jeziorze Mysutjernet przepłynął 110 m na jednym wdechu bez skafandra. W przyszłym roku zamierza przepłynąć 115 m, aby pokonać samego siebie w tej nierównej walce.

■ Policja ze Skarżyska-Kamiennej aresztowała dwie kobiety z powiatu starachowickiego. W telefonie jednej z nich natrafiono bowiem na film, z którego wynikało, że więziły one mężczyznę lat 32. Więźnia wyprowadzano codziennie na smyczy, aby spacerował po miejscowym lesie. W trakcie przechadzki facet idący na czworakach był opluwany, bity i kopany. Może się jednak okazać, że pozbawiony wolności mógł uczestniczyć w tej zabawie dobrowolnie. Nie zweryfikowano jednak tej hipotezy procesowej. Bohater filmu ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości z powodu ciężącego na nim nieodbytego wyroku pozbawienia wolności.

■ W Nowogrodzie Bobrzańskim na ul. Żarskiej audi na niemieckich numerach rejestracyjnych wypadło

z jezdni. Wykonując kilka obrotów w powietrzu, spadło na pobocze, niszcząc ogrodzenie przydrożnej posesji. Złamane zostało także drzewko owocowe. Przybyła na miejsce policja ze zdziwieniem stwierdziła, że w środku pojazdu nie ma żywego ani nieżywego kierowcy. Operacyjnie ustalono, że auto zostało wypożyczone w Niemczech przez obywatela Stanów Zjednoczonych służącego obecnie w jednostce US Army stacjonującej w Polsce. Żołnierz został odnaleziony. Po pierwsze, pogratulowano mu poziomemu wykształceniu. Po drugie, ukarano mandatem w wysokości 5 tys. zł.

■ Urząd Miasta Ruda Śląska opublikował cennik miejski. Koszt wymiany okna w mieszkaniu komunalnym ma wynieść w 2024 r. 2200 zł. Naprawa 1 mkw. dziury w jezdni – 76,50 zł. Przebudowa 100 m drogi gminnej – 776 365 zł. Za budowę 100 m chodnika miasto zapłaci 33 200 zł. Za miesięczne utrzymanie izby wytrzeźwień – 219 600 zł. Za miesięczne utrzymanie noclegowni – 70 600 zł. Za posadzenie drzewa – 700 zł, a bratka – 2 zł. Zakup łóżka szpitalnego to wydatek w granicach 3 tys. zł. Inkubator dla noworodka w miejskim szpitalu kosztuje 100 tys. zł.

■ Polska jest krajem bezpiecznym do życia dla Żydów – czytamy na łamach niemieckiego dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W ciągu ostatnich miesięcy nie doszło w Polsce do obrzucenia koktajlami Molotowa synagog, palenia flag Izraela i napadów na przedstawicieli społeczności żydowskiej, jak to miało

miejsce np. w Berlinie – zauważają niemieccy dziennikarze. Dziękujemy Niemcom za uznanie i pozwalamy sobie zauważyć, że są oni na samym końcu uprawniających do oceny poziomu życia Narodu Wybranego w Polsce. Spierdalajcie!

■ Zakopiańska policja donosi o kumulacji kradzieży sklepowych. Jednego i tego samego dnia 46-letnia kobieta została zatrzymana na kradzieży kosmetyków za 100 zł, 69-latką i 70-letni miejscowy mężczyzna nakradli się perfum i szamponów za 350 zł, a w monopolowym góralka zaiwanila butelkę wódki za 22 zł. Do tej pory górale zero wiali tylko na turystach, teraz wystąpili przeciwko sobie.

■ Karolina Kłobus z Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Szczecinie przyznała, że prawdą jest, iż w powietrzu nad miastem wykryto przekroczenie norm dwutlenku siarki, co jest rezultatem „intensywnej produkcji nawozów na terenie zakładów Fosfan SA”. Nie jest jednak tak, jak twierdzą defetysty, że atmosfera jest już jak na planecie Wenus, która jest zamglona oparami kwasu siarkowego. Zakład działa na podstawie decyzji marszałka województwa pod nazwą „Pozwolenie zintegrowane”. W niej określone są parametry, które powinny spełniać emitowane przez fabrykę zanieczyszczenia. „Na razie nie stwierdziliśmy jakiegoś działania niezgodnego z prawem” – wyjaśniła pani Kłobus.

■ Obligacje za 270 mln zł wyemituje w 2024 r. Lublin. Pieniądze przeznaczy na spłatę zadłużenia i pokrycie

Będzie wojna albo nie

W dupie mamy schrony.

Najwyższa Izba Kontroli wydała z siebie alarmistyczny raport na temat schronów, których nie ma. Wydawanie raportów należy do obowiązków Izby – choć można się zastanawiać, czy koniecznie trzeba nadawać im publicystyczne tytuły („W schronie się nie schronisz”) – natomiast szczerze niepokojący jest bezrefleksyjny entuzjazm, z jakim media podchwyciły tę historię i poniosły w świat.

Lepsza Polska wg preppersów

W Polsce Dorota Gawryluk w nowym programie nazwanym optymistycznie „Lepsza Polska” z zapalem siała groźbę oznajmioną już w tytule: „Jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani do wojny?”.

„Obiecałam, że w nowym programie zajmę się tym, co najważniejsze dla Polaków, i że będziemy rozmawiać o konkretach. Chyba wszyscy się zgadzamy, że nie ma teraz ważniejszego tematu niż nasze bezpieczeństwo” – zagaiła i oczywiście wszyscy się zgodzili, głównie dlatego, że zgromadziła w studiu dwóch generałów, pułkownika i starszego chorążego sztabowego, czyli facetów, którzy tzw. bezpieczeństwo fetysyzują niejako zawodowo. Po tem usłyszeliśmy, że „większość już nie pyta »czy grozi nam wojna«, ale raczej »kiedy«: za trzy lata, rok, a może miesiąc?”.

„Gazeta Wyborcza” kilka dni wcześniej opublikowała materiał pod niemal identycznym tytułem: „Czy jesteśmy gotowi na wojnę?”. Jeśli to możliwe, tekst „GW” był jeszcze bardziej histeryczny: zamiast zawodowych mundurów w charakterze eksperta występował w nim bowiem preppers.

Preppersi – wyjaśniam nieorientowanym – to subkultura świrów. Takich, co to szykują się na apokalipsę, gromadząc aspirynę i pulpety w puszcze, weekendy spędzają w ziemiance, gdzie dziadek po wojnie peklował szwinę z nielegalnego uboju, i są przekonani, że jako jedyni wiedzą, co nas czeka.

„Bagatelizujemy zagrożenie lub obracamy je w żart, co jest klasyką wyparcia. Przecież rakietą pod Bydgoszczą to informacja od Rosjan: »uderzamy, gdzie chcemy, wy nawet o tym nie wiecie«. Co na to społeczeństwo? Jakies podśmiechujki” – autorytatywnie informuje reportera Piotra Głuchowskiego preppers Piotr Czuryłło, a dziennikarz cytuje to ze śmiertelną powagą, dodając, że Czuryłło „ma przede wszystkim broń, karabin snajperski i pistolet”, a także „kolekcję łuków sportowych”. Ma też zapasy żywności – uwaga – „w wielkości zdroworozsądkowej”, co oznacza „jedzenie na trzy miesiące dla pięciu, sześciu osób”, choć rodzina liczy cztery. Czuryłło naucza także, że „każda rodzina powinna mieć punkt zborny. Wojna wybucha o dziewiątej rano. Dzieci w szkole, rodzice w pracy, telefony padły, co robisz? Dzieciaki muszą wiedzieć: gdzie się spotykamy”. Ważne jest też, żeby mieć „punkt drugi, jeżeli na ten pierwszy akurat spadłaby bomba”...

„Pan się szykuje na wojnę?” – pyta Głuchowski Czuryłłę na koniec reportażu. A ekspert mu na to: „Z natury jestem optymistą, ale ostatnio sygnały są więcej niż alarmowe. Putin grozi krajom bałtyckim wprost. Mówi o odbudowie rosyjskiej strefy wpływów, w której widzi, jak mnie mam, również nas.

Zatem kwestia jest raczej »kiedy wejdą?« niż »czy w ogóle?«”.

Dywersanci w epoce przedwojennej

W normalnych czasach, nawet gdyby szanujący się dziennikarz postanowił zrobić tego typu materiał, to naprzeciwko szafarzy historii postawiłby jakiegoś eksperta z drugiej strony myślowej barykady. Kłopot polega na tym, że takich ekspertów jest dziś w Polsce mniej więcej czterech – już dawno wypadli z medialnego obiegu, albowiem w „epoce przedwojennej” (Tusk) w mediach nie ma miejsca dla „dywersantów” (Kaczyński).

Do dywersantów niewątpliwie należy Grzegorz Kołodko, który w ostatnim „Przeglądzie” po raz kolejny podważa morale narodu, wzywając do przekierowania 2,4 bln dolarów – tyle dziś „świat wydaje na wojsko, oczywiście wszędzie nazywając to obroną narodową” – na walkę z nędzą, w której żyje 630 mln ludzi. Kołodko, z właściwym sobie lekceważeniem tego, czego w dzisiejszych czasach oczekuje się od intelektualistów, pisze o olbrzymich zyskach, jakie przemysł zbrojeniowy, zwłaszcza amerykański, czerpie z wojennej psychozy: „w 2023 roku eksport amerykańskiej broni, sprzedawanej aż do 96 krajów, skoczył o 16 proc., do poziomu 238 miliardów dolarów; to aż 37 proc. światowego handlu w tej branży”. Zgadzam się z każdym słowem – zwłaszcza z tym, że „lobby militarno-przemysłowe i prowojenne grupy interesu są

potrzebują komplikacji związanych z wymogami technicznymi dla schronów.

Histeria ta może natomiast przynosić zyski polityczne. Pytanie brzmi wszakże: komu.

Donald Tusk, ze swoimi nieustającymi insynuacjami, że Ruscy ante portas („żyjemy w nowych czasach: w epoce przedwojennej”; „czasy spokoju i ciszy minęły”; „my w Polsce musimy zdać, być może, najtrudniejszy egzamin od niepamiętnych



Prekursorem marketingu politycznego opartego na budzeniu lęku był Woodrow Wilson. Przekonał on rodaków do I wojny światowej mieszaniną wzniosłych haseł o obronie wolności – i nagonki na Amerykanów niemieckiego pochodzenia. Byli oni oskarżani o to, że są szpiegami Kaisera przybyłymi do Nowego Świata z zadaniem ustanowienia nowych niemieckich kolonii mających stać się punktami startowymi przyszłej inwazji na USA. Kapusta kiszona, którą imigranci z Niemiec przywieźli wraz z niemiecką nazwą *sauerkraut*, została przemianowana na „kapustę wolności”; hamburger został „steakiem wolności”, a frankfurterki „kielbasą wolności”. Nauka języka niemieckiego w publicznych szkołach została zakazana, a niemieckojęzyczne książki płonęły

na stosach. Ofiarą prześladowań padły także popularne wśród niemieckich Amerykanów jamniki, zwane *dachshunds*: uniesiony patriotyzmem tłum zabijał psy na oczach właścicieli, choć szczególnie popularne stało się szczucie na nieszczęsne jamniki buldogów, uważanych za psy angielskie, czyli sprzymierzone. Muzyka Bacha, Beethovena i Brahmsa znalazła się na indeksie (coś Wam to przypomina?). Amerykanie niemieckiego pochodzenia padali ofiarą rytualnych upokorzeń: np. w hrabstwie Scott rozjuszony tłum patriotów pomalował ich domy i sklepy na żółto – kolor oznaczający zdradę i tchórzostwo – niektórzy zostali wywleczeni z domów i zaciągnięci na plac, gdzie zmuszono ich do całowania amerykańskiej flagi.

silniejsze niż słabo zorganizowani miłośnicy pokoju i zrównoważonego rozwoju” – ale ostatnia fala histerii, która przetoczyła się przez Polskę na okoliczność schronów, sugeruje, że jest to diagnoza niepełna.

Budowanie paniki wokół faktu, iż dwie trzecie Polaków „zdecydowanie” nie wie, „gdzie w pobliżu miejsca zamieszkania znajduje się schron” (NIK opracował w tej kwestii stosowną infografikę, ze skulonym człowieczkiem, siedzącym w kucki w piwnicy między pryczą a drabiną), nie przynosi wprost zysków finansowych żadnemu lobby biznesowemu. W Polsce, chwała nieistniejącemu, nie istnieje „lobby schronowe”, a deweloperzy radzą sobie znakomicie, sprzedając mikroapartamenty dla chomików po pół bańki, i nie

lat”; „sytuacja, w jakiej znalazła się Europa, Ukraina, Polska wymaga skupienia energii i maksymalnej solidarności całego polskiego narodu!”) niewątpliwie sądzi, że jemu. Może się wszakże mylić.

Strachliwy mózg prawaka

Sondaż United Surveys dla DGP i RMF FM, zrobiony w drugą rocznicę wybuchu wojny, wykazał, że ataku Rosji boi się 60 proc. wyborców Trzeciej Drogi, 55 proc. głosujących na PiS i tylko 42 proc. elektoratu KO. Wśród wyborców lewicy – donoszę z satysfakcją – histerii wojennej uległa zaledwie jedna piąta.

W jaki sposób tłumaczy to prawica – nietrudno zgadnąć. Osobiście wyłożył mi to dekadę temu redaktor Semka w jakimś programie w TVN, w któ-

rym obydwójce braliśmy udział: lewica to postkomuniści i ich dzieci, postkomuniści to nic innego jak odpicowani komuniści, komuniści rządili Polską z nadania Kremla w czasie sowieckiej okupacji, Sowietci to Ruscy – ergo: lewica jest z natury swojej prorosyjska. Jak w starym peerelowskim dowcipie: czas to pieniądź, pieniądź to grunt, grunt to ziemia, ziemia to matka, matka to anioł, anioł to stróż, stróż to dozorca... Wywód na temat lewicy i Rosji jest równie logiczny: obecna współrządzająca lewica jest tak samo bezrefleksyjnie antyrosyjska jak reszta klasy politycznej. Jakikolwiek rozważania nad udziałem Zachodu w doprowadzeniu do konfliktu uważa za myślozbrodnię, a słowo „pokój” – za nieprzyzwoite. Jest dla mnie źródłem niejakiej pociechy, że wyborcy lewicy są mądrzejsi od swoich wybrańców.

Nawet jeśli to tylko efekt fizjologii.

Badania wskazują bowiem, że lęk jest szczególnie silnym motywatorem dla prawaków, co wynika z przerostu amygdali.

Amygdala – ciało migdałowate, element układu limbicznego, umiejscowiony w wewnętrznej części płatu skroniowego – odpowiada m.in. za negatywne emocje, reakcję na zagrożenie nazywaną po angielsku *fight-or-flight*, czyli „walczyć czy uciekać”. W 2011 r. Ryota Kanai, japoński neurobiolog prowadzący badania na brytyjskim University College London, odkrył, że osoby o poglądach prawicowych mają bardziej rozwinięte ciało migdałowate. Dla pocieszenia: lewicowcy wykazują większą objętość przedniej kory zakrętu obręczy – obszaru, który odpowiada za wykrywanie błędów i rozwiązywanie konfliktów. Inne badania, przeprowadzone kilka lat wcześniej na Uniwersytecie Nebraska-Lincoln, wykazały, że ludzie o poglądach konserwatywnych dłużej i z większym napięciem wpatrują się w obrazki, które budzą strach i wstręt, takie jak wypadki samochodowe czy larwy pełzające w otwartej ranie. Z kolei w 2014 r. grupa badaczy z politechniki stanowej w Wirginii odkryła, że istnieje związek między poglądami politycznymi a widoczną na rezonansie magnetycznym aktywnością mózgu wywołaną odrażającymi lub przerażającymi obrazami – konserwatyści reagowali mocniej. Takich badań było więcej i wnioski jest wspólny: strach to hobby prawaków.

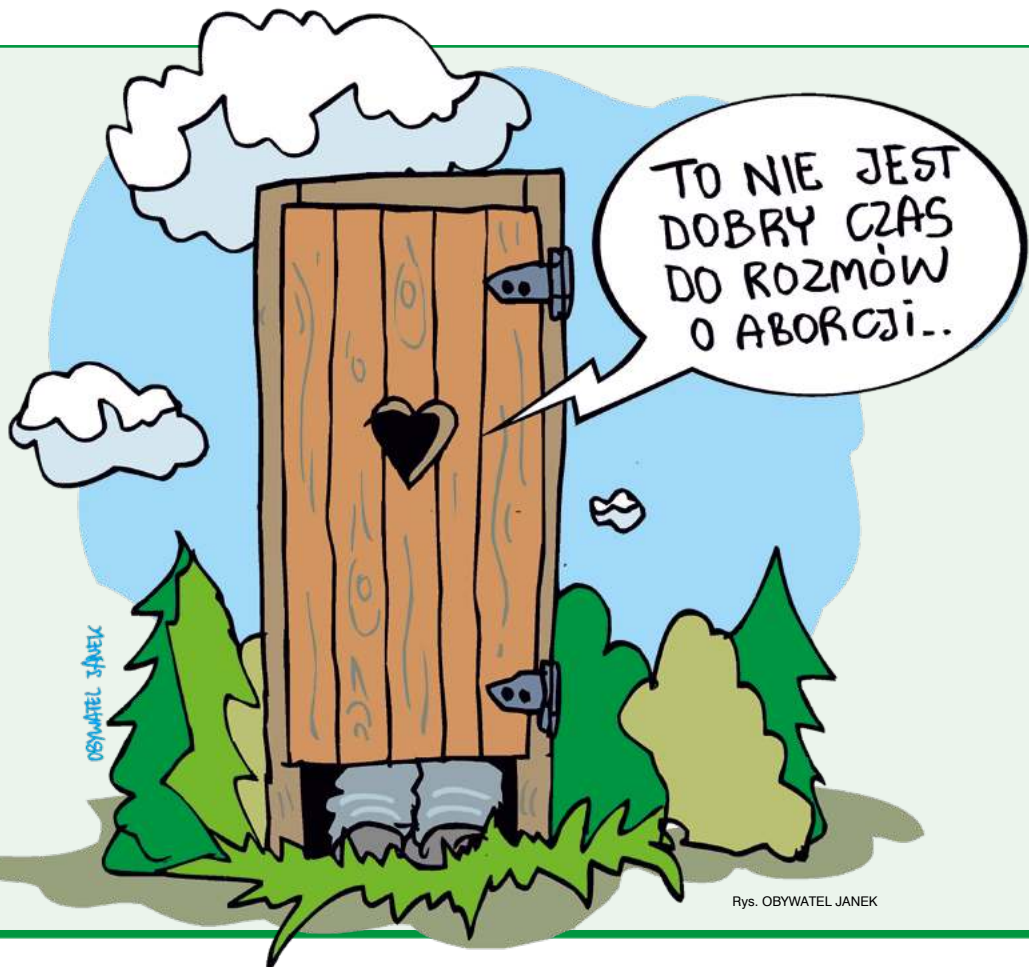
Wybaczcie mi zatem, jeśli nie popadam w histerię w związku z brakiem schronów na Żoliborzu. Niedorozwinięta amygdala podpowiada mi bowiem, że – jak mówi stary żydowski dowcip – w życiu są zawsze dwa wyjścia. Albo będzie wojna z Rosją, albo jej nie będzie. Osobiście skłaniam się do wariantu numer dwa:

jeśli Putin przez dwa lata nie poradził sobie z Ukrainą, concept, iż teraz zaatakuje Polskę albo któreś z państw bałtyckich, wydaje mi się cokolwiek fantastyczny.

Jeśli zaś się mylę i czeka nas wojna NATO-Rosja, to dostępność schronów nie ma naprawdę żadnego znaczenia. Wszyscy i tak zginiemy od bomby atomowej i osobiście wolę wyparować w ułamku sekundy niż konać tygodniami z krwawą szcrażką i ślepotą narastającą nie dość szybko, by nie wiedzieć, jak świat opanowuje zima nuklearna.

Czego i Państwu życzę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA



deficytu. Uchwała budżetowa na obecny rok przewidywała, że zadłużenie miasta na koniec roku wyniesie 2,245 mld zł, z czego 1,234 mld zł stanowić będą zobowiązania z tytułu wyemitowanych do tej pory obligacji. Przychody miasta w tym roku mają wynieść 3,05 mld zł. Wygląda to na rolowanie długu.

Jeżeli chodzi o miasta, w których odnotowano w minionych sześciu latach wzrost liczby mieszkańców, na czele jest Pruszków w województwie mazowieckim. Liczba pruszkowiaków wzrosła z 61,8 tys. osób w 2018 r. do 65,3 tys. obecnie. Daje to plus 5,7 proc. Ponieważ dla mnie jest to miasto powiatowe, które wydaje paszporty, prawa jazdy oraz ma stosowny urząd skarbowy, wiedzę tę powziąłem z niejakim zdziwieniem. Od kiedy nad miastem przestała panować osławiona pruszkowska mafia, niewiele mi się tam udaje. Zwiększa w sprawach urzędowych za pierwszym podejściem.

Jechał sobie spokojnie ul. Mickiewicza w Warszawie dostawca pizzy w swoim aucie, w którego tablicy rejestracyjnej przedostatnią literkę F przerobił na E, aby się go policja i straż miejska nie czepiała. Niestety policja lubi się czepiać nawet tych, którzy chcą być z nią w zgodzie. Kryminalni z Żoliborza, którzy zupełnie w innej sprawie jechali tą ulicą w cywilnym aucie, wykryli niezgodność w owej tablicy z obowiązującą rzeczywistością. Przedostatnia litera w tablicy rejestracyjnej nie może być „E”. Zatrzymali biedaka. No i oczywiście spostrzegli różnicę między blachami a dowodem rejestracyjnym. Facet po-

szedł do paki. Chcą mu przywalić pięć lat jak za fałszowanie dokumentów. No i jak tu z gliniarzami żyć w zgodzie?!

Jak się wszystkim wydaje – bo trąbią o tym w telewizorach – weszła w życie ustawa wymyślona przez przyglupów z PiS-u w 2022 r., która zakłada konfiskatę auta za jazdę po pijaku. Weszła teoretycznie, ponieważ nie napisano przepisów wykonawczych. Z tego powodu policja w Krotoszynie musiała zwrócić skonfiskowany pojazd kierowcy, który miał ponad 3 promile alkoholu we krwi. Jest jeszcze inny powód. Podobne pomysły na konfiskatę samochodów pojawiają się mniej więcej raz na 15 lat. Kończył się to zawsze tym samym: przed Trybunałem Konstytucyjnym – i teraz też się tak skończy. Były i są one w sposób oczywisty niezgodne z konstytucją. Nie może być tak, aby za to samo przestępstwo jeden obywatel był karany utratą mienia o wartości 300 tys. zł, a inny – o wartości 8 tys.

Jeżeli jesteście uczciwymi czytelnikami tygodnika „NIE”, czyli kupiliście go jak zwykle w piątek, to od wczoraj macie astronomiczną wiosnę. Jednak jak głosi tradycyjna polska mądrość ludowa: kiedy trawa się zieleni, kiedy cipka się czerwieni, kiedy chuj stoi jak sosna, wtedy jest prawdziwa wiosna.

RJ

PS Informacje wybrał mi według swojego widzimisię z prasy regionalnej i dzielnicowej (to jeżeli chodzi o Warszawę). Nie muszą być prawdziwe. Co więcej: nie bierzemy za żadnej prawnej odpowiedzialności. Pozostaje jedynie honorowa.

Świat według KEP-skich

Na polskim konklawe Duch Święty nie zagościł.

Sezon wyborczy w Polsce w pełni. Za sobą mamy już wybory parlamentarne, przed sobą samorządowe, do europarlamentu i prezydenckie. Polacy tak polubili ten stan, że w okresie bezwyborczym chodzą jak w żałobie. Aby uprzyjemnić narodowi tę dłużącą się przerwę między elekcjami, polski Kościół kat. – znany wielbiciel demokracji – dostarczył emocji w postaci wyborów na przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski (KEP). Nie jest to co prawda konklawe, ale zawsze coś.

Biskupi wybrali spośród siebie swojego szefa. Szefa, który niewiele może poza zwołaniem obrad i pilnowaniem ich przebiegu. Może też wygłosić orędzie w telewizji publicznej na Boże Narodzenie czy Wielkanoc, jak prezydent, premier czy marszałek, czyli coś tam jednak może. Ale na swoich kolegów dużego wpływu nie ma. Każdy biskup jest sam sobie panem i sędzią co może jedynie papież. Przewodniczący konferencji episkopatu – jak podkreślali komentatorzy – to nie jest bardzo ważne stanowisko. Jak na tak nic nieznaczącą funkcję poświęcono jej wyjątkowo wiele miejsca i czasu w mediach.

Twarz bez twarzy

Kto się niczego dobrego po biskupach nie spodziewał, ten jak zwykle się nie zawiódł. Twarzą episkopatu został człowiek z twarzy podobny zupełnie do nikogo. Choć jego twarz nie brzmi znajomo, znajomo rysuje się przyszłość polskiego Kościoła kat.

Abepe Stanisława Gądeckiego z Poznania zastąpił abepe Tadeusz Wojda z Gdańska. Pierwszym odruchem po jego wyborze nawet u znawców tematyki kościelnej było wpisanie jego nazwiska do wyszukiwarki, bo to postać do niedawna praktycznie anonimowa. Jego Fluorescencja ma 67 lat, jest metropolitą gdańskim, a wcześniej był białostockim. Gdańsk to miasto przecinających się interesów kościelnych i politycznych. Poprzednikiem Wojdy był Sławoj Leszek Głódź, którego przedstawiać nie trzeba. Jeszcze wcześniej archidiecezją rządził Tadeusz Gocłowski i to w jego pałacu pod jego okiem negocjowano warunki koalicji PO-PiS, do której ostatecznie nie doszło. Gocłowski był platformer-ski, Głódź z kolei wołał PiS. Za jego czasów do łask i na salony wrócił ks. Henryk Jankowski, równie barwna co Głódź postać. I taką diecezję dostał od papieża Franciszka w 2021 r. Wojda.

Spadochroniarz

Zanim trafił do Gdańska, przez cztery lata rządził w Białymstoku. Do Białegostoku trafił zaś prosto z Rzymu, gdzie pracował od 1990 r. To dość nietypowa kariera: po 20 latach pracy w wa-

tykańskich urzędach dostał od razu archidiecezję. Zazwyczaj biskupi zaczynają jako pomocniczy, a archidiecezja jest zwieńczeniem kariery. Tymczasem Wojda – spadochroniarz z Watykanu – został z miejsca arcybiskupem, co zapewne wzbudziło zazdrość w kolegach. W Watykanie nie był więc tak anonimowy jak dotychczas w Polsce.

Tadeusz Wojda jest pallotynem. Z tego samego zgromadzenia zakonnego wywodził się nieżyjący już abepe Henryk Hoser, który był jednym z wyświecających Wojdę biskupów w 2017 r. Relacje mieli chyba niezłe: nowy przewodniczący KEP wspominał, że na zaproszenie Hosera odwiedzał Medjugorje – miejsce „objawień” Matki Boskiej nieuznawanych oficjalnie przez Kościół kat. Hoser był wizytatorem papieskim tego sanktuarium. Kościół oficjalnie objawień nie uznaje, ale też się od nich nie odcina, bo sanktuarium jest tłumnie odwiedzane przez dewotów i dostarcza furi hajsu. Henryk Hoser, oprócz badania urojeń, kolegował się też z ludobójcami. Tak przynajmniej stwierdził rwandyjski ksiądz Jean Ndurimana w wywiadzie udzielonym portalowi Natemat.pl. Hoser był wizytatorem apostolskim w Rwandzie w latach 1994–1996, czyli praktycznie rządził w imieniu JP2 tamtejszym Kościołem kat. Sam twierdził, że w czasie mordowania Tutsi przez Hutu nie było go w Rwandzie i nie ma z tym nic wspólnego. Innego zdania jest choćby reportażysta Wojciech Tochman, który tym wydarzeniom poświęcił książkę. Oprócz tego Hoser zaciekle zwalczał in vitro, choć z wykształcenia był lekarzem. No i wyświęcił na biskupa dzisiejszego szefa episkopatu. Takiego fajnego Wojda miał koleję.

Powonienie eksperta

W czasie rządów w archidiecezji białostockiej dwa razy zrobiło się o nim głośno. Po raz pierwszy w 2019 r., gdy stanowczo wystąpił przeciwko Marszowi Równości w Białymstoku. „Marsz, chociaż zakłada przeciwdziałanie domniemanej dyskryminacji wspomnianych środowisk, w rzeczywistości sprzyja dyskryminacji innych – tych, których sumienie jest wyczulone na dobro społeczne, chrześcijańskie i obyczajowe, a także jest miejscem obrażania i robienia parodii z treści, które są dla wierzących najwyższą wartością” – pokrętnie tłumaczył Wojda, ucząc się od Hosera, który miał łeb nie od parady, zwłaszcza równości. Marsz przemaszzerował, ale nie obyło się bez zamieszek. Wielu знаło, że atakujących zachęcił swoim apelem Wojda, ale on sam potępił przemoc użytą wobec maszerujących. Wcześniej jednak krzyczał za Wyszyńskim: *no possumus!* (nie pozwolimy!) i byli tacy, co to wezwanie wzięli dosłownie.



Rys. MIROSLAW HAJNOS

Drugi raz Wojda wypłynął na szerokie wody medialne także dzięki LGBT. W 2020 r. ułalo mu się, że polskie społeczeństwo „cuchnie homoseksualizmem” i „grzechem LGBT”. Eksceklencja ten zapach doskonale zna, w końcu ponad 20 lat spędził w Rzymie. Trudno się wyklócać z takim ekspertem. Ale jakoś przez dwie dekady w słonecznej Italii mu nie cuchnęło, a w Polsce cuchnie. Prezes Kaczyński powiedziałby pewnie, że to ojkofobia, czyli – jak definiuje prawniczy profesor Jacek Bartyzel – „niechęć, odraza, a częstokroć i nienawiść do własnej, rdzennej wspólnoty osób, zwłaszcza rodzinnej, narodowej i cywilizacyjnej”.

Autoryteci moralni

Poza predylekcją do spraw orientacji seksualnej niczym szczególnym się Wojda nie wślawił. Członek z ramienia wysunięty na czoło abepe Wojda nie przeprowadzi raczej rewolucji w polskim Kościele kat. Biskupi wybrali kontynuację dotychczasowej polityki, która wprawdzie zaprowadziła ich na manowce, ale przynajmniej była wygodna. A polscy hierarchowie wygodę wyjątkowo cenią i są w stanie dla niej poświęcić wiele, jeśli nie wszystko. Nie boli ich nawet masowy odpływ wiernych, dopóki kasa jest pełna. Za komentarz wystarczy to,

że według sondażu przeprowadzonego przez portal OKO.press biskupi są autorytetem moralnym dla zaledwie 2 proc. Polaków – pewnie to ich rodziny i partnerzy.

Nie zapowiada się na zmianę, co oczywiście nie jest dla nas tragiczną wiadomością.

Z punktu widzenia biskupów wybór Wojdy był zapewne słuszny. Oni niespecjalnie dbają o tzw. otwartych katolików. Wiedzą, że ci mogą w każdej chwili odejść i nie ma co się im podlizywać ani ulegać ich presji.

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ 26 marca na ławie oskarżonych zasiadzie 80-letni ksiądz z Pionek Leon C. Z aktu oskarżenia wynika, że zdarzenia, które doprowadziły watykańskiego namiestnika przed oblicze sprawiedliwości, miały miejsce w Pionkach pomiędzy wrześniem a listopadem 2012 r. Jak poinformował rzecznik prasowy radomskiego sądu sędzia Arkadiusz Guza, duchowny miał doprowadzić małoletniego poniżej 15. roku życia do „innej czynności seksualnej” polegającej na dotykaniu jego miejsc intymnych. Poszkodowany małoletni wymieniony w akcie oskarżenia to 18-latek, który w maju ubiegłego roku napadł na kapłana, gdy ten wracał z posługi u chorego. Napastnik uderzył wówczas duchownego w plecy, a kiedy ksiądz się przewrócił, kopnął go trzykrotnie w plecy. Klecha emeryt został przewieziony do szpitala, a po przejściu badań powiadomił policję. Tydzień później policja zatrzymała podejrzanego o napad młodego mężczyznę. Wtedy nastąpił niespodziewany zwrot akcji. Prokuratura na podstawie wyjaśnień 18-letniego napastnika przedstawiła zarzut także 80-letniemu kapłanowi. W 2012 r.

napastnik miał siedem lat, ksiądz C. – 68. Klecha nie przyznaje się do winy i kategorycznie zaprzecza, jakoby znał pokrzywdzonego i dotykał jego miejsc intymnych.

✦ W niespełna dwutysięcznym Lubomierzu (woj. dolnośląskie) od stycznia mieszkańcy żyją skandalem obyczajowym z udziałem zawieszzonego w obowiązkach proboszcza Andrzeja Ł. z parafii św. Maternusa i żony kościelnego organisty. Diecezja legnicka przeprowadzi postępowanie kanoniczne, a sąd kościelny uznał za konieczne zawieszenie w czynnościach kapłańskich proboszcza ks. Andrzeja Ł. po tym, jak Monika R. i jej mąż Roman R. oskarżyli duchownego o utrzymywanie kontaktów seksualnych z Moniką R. oraz innymi parafiankami. Duchowny odniósł się do zarzutów, publikując na stronie internetowej parafii oświadczenie, w którym zarzekał się, że nie udzielał krodidla niewiastom, a dowody świadczące przeciwko niemu uznał za sfabrykowane. Jak przekazał mediom rzecznik prasowy legnickiej kurii ks. Waldemar Wesółowski, oświadczenie opublikowane przez ks. Andrzeja Ł. było „łamaniem decyzji biskupa”. Zdaniem rzecznika duchowny podał też w nim nieprawdziwe informacje, nie wyjaśnił jednak jakie. Oskarżony o fikołki z parafiankami ksiądz skierował przeciwko małżeństwu R. sprawę do sądu cywilnego i za wyrządzone krzywdy będzie oczekiwał wysokiego zadośćuczynienia. Cała sytuacja miała doprowadzić do pogorszenia stanu



jego zdrowia, wpędzając księdza w nerwicę lękową i inne nieprzyjemne schorzenia.

✦ Błdy strach padł na mieszkańców poznańskiego osiedla Maltańskiego, których domostwa znajdują się na działkach należących do parafii św. Jana Jerozolimskiego. Proboszcz ks. Paweł Deskur chce się pozbyć kłopotliwych lokatorów i sprzedać teren deweloperowi. Sporne działki przez setki lat należały do Zakonu Kawalerów Maltańskich, jednak w latach 30. ubiegłego wieku parafia wydzierżawiła je dla najuboższych, a po wojnie komunistyczna władza stworzyła tam ogródki działkowe. Mieszkańcy osiedla Maltańskiego są wściekli, bo kiedy kupowali te działki, nie wiedzieli, że należą do Kościoła. Wielu z nich mieszka tam od urodzenia. Płacili rachunki za media, podatek od nieruchomości, a nawet mogli się tam bez problemu zameldować na stałe. Kiedy okazało się, że teren należy do księdza, ten zmusił ich do podpisywania umów o dzierżawę. Termin najmu mija 31 grudnia 2024 r. Kiedy mieszkańcy zgłosili chęć wykupu działek od proboszcza, ten stwierdził, że ich na to nie stać. Atrakcyjna ziemia nad Wartą jest na tyle tłustym kąskiem, że mieszkańcy nie byłoby w stanie przeliczyć deweloperów.

✦ Kleszy influencer Rafał Głównyński, znany w social mediach jako Ksiądz z osiedla, był gościem podcastu

Jak stwierdził jeden z papieży: gdy Kościół jest otwarty, to więcej ludzi z niego wychodzi, niż do niego wchodzi. Postawienie na twarogłowych katolików jest z ich perspektywy słuszne, bo to głównie beton łoży na tacę, a liberalni obrażają się o byle gówno. Powiesz coś nie po ich myśli, to widzisz ich plecy. A konserwom wystarczy rzucić coś o tęczowej zaradzie czy cuchnącym homoseksualizmie i już klaszczą uszami i sypią groszem. Dopóki jest ich tyłu, że wystarczy na bułeczkę z masłem i kawiozem, to nie trza psuć.

Podczas ingresu, czyli uroczystego objęcia diecezji gdańskiej przez Wojdę, jego poprzednik na stanowisku szefa episkopatu abepe Gądecki cytował mu złotą myśl św. Grzegorza Wielkiego, papieża: „Nie wypada, abys Ty, biskup, który jesteś głową, na czyjąś zgubę słuchał ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego, skoro Ty masz słuchać tylko Boga. Winienesz rządzić podwładnymi, a nie podlegać ich władzy, wszak zgodnie z porządkiem urodzenia, syn nie rządzi ojcem ani uczeń nauczycielem, żołnierz królem ani świecki biskupem”. Tyle o stanie mentalnym polskich biskupów.

Wicek od cichych pochówków

Cytat ten w czasie wyborów przewodniczącego KEP umieszczono też na koncie abepe Marka Jędraszewskiego opisanym jako jego fanklub na platformie X (dawniej Twitter). Jędraszewski był dotychczas zastępcą przewodniczącego KEP, a jego następcą został abepe Józef Kupny z Wrocławia, o którym wiadomo jeszcze mniej niż o Wojdzie. W każdym razie pozwolił pochować z honorami w katedrze zmarłego ostatnio abepe Mariana Gołębskiego. „Były biskup diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej i metropolita wrocławski dopuścił się zaniedbań w sprawach dotyczących wykorzystania seksualnego małoletnich przez podległych mu kapłanów, za co został ukarany przez Stolicę Apostolską. W związku z tym oraz mając na względzie cierpienie osób skrzywdzonych, ochronę ich

czci, praw i godności, Państwowa Komisja stoi na stanowisku, że pochówek arcybiskupa Gołębskiego nie powinien mieć uroczystej formy” – napisano w oświadczeniu państwowej komisji ds. przeciwdziałania pedofilii. Abepe Kupny nie posłuchał ogona. Jeszcze wcześniej metropolitą wrocławskim był kard. Henryk Gulbinowicz, który nie tylko tuszował, ale i sam molestował. Watykan wlepił mu za to w 2020 r. zakaz uczestnictwa w celebracjach i spotkaniach publicznych, zakaz używania insygniów biskupich oraz pozbawił prawa do nabożeństwa pogrzebowego i pochówku w katedrze. Pochował go pokatnie, bez zapowiedzi o miejscu i terminie, abepe Józef Kupny.

Na YouTube można znaleźć wywiad z Tadeuszem Wojdą w ramach cyklu „Biskup też człowiek” (tytuł dość ryzykowny). Nowo wybrany przewodniczący KEP wspomina tam, że przed wyjazdem do Włoch miał zaledwie dwa miesiące na nauczenie się języka. A pech chciał, że w budynku, w którym mieszkał, trwał akurat remont. I w tym huku biedny ks. Tadek kuł włoskie słówka z palcami w uszach.

Nie ma lepszej metafory na ilustrację postępowania polskich biskupów: ignorują rzeczywistość, zatykając uszy palcami, i bełkoczą coś w niezrozumiałym języku.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

„Bez tajemnic”, w którym podzielił się przemyśleniami na temat obecności kobiet na pielgrzymkach. Sukienkowy celebryta stwierdził, że chłopaków jest tam garstka, a każda białogłowa stanu wolnego szuka męża. Na potwierdzenie swojej tezy przywołał własne doświadczenia. „Podchodzę do jakiegokolwiek dziewczyny i mówię: „Cześć, pomóż Ci nieść plecak?” [...] W jej oczach

było: rany, to ten!” – podsumował. Paniom zamiast na pielgrzymkę sugerujemy skoczyć na kielicha. Mniejsze ryzyko potknięcia się o ego księdza mizogina.

Internetowa księgarnia należącej do ojca Rydzika katolickiej Fundacji Lux Veritatis przygotowała ofertę upominków na zbliżający się okres komunijny. Wśród wielu pozycji znajdziemy książkowe wydanie sakramentu pokuty dla dzieci, figurkę św. Józefa za jedyne 160 zł, a także płytę CD z grą komputerową „Ja jestem”. „Ta gra to doskonała podróż po Ziemi Świętej w poszukiwaniu Jezusa. Aby ją ukończyć, trzeba rozwiązać różne zadania. W grze jest przewodnik po Palestynie, wskazówki w postaci cytatów biblijnych i atrakcyjne ćwiczenia zręcznościowe” – głosi opis. Podpowiadamy, że dla poszerzenia edukacyjnych horyzontów małych komunistów warto uzupełnić zabawę o medialne relacje ze współczesnej Palestyny. Prawdopodobieństwo znalezienia tam Jezusa jest równie wysokie jak odtwarzacza płyt CD w nowych komputerach.

KLECHA

Wiadomości na pożytek owieczek i pasterzy czerpiemy z prasy lokalnej.

ETYKA BEZBOŻNA

Czym cuchnie biskup Wojda

No, jak miło! Przewodniczącym tzw. Konferencji Episkopatu Polski został niejaki Tadeusz Wojda, wschodząca gwiazda moralistyki, który z ojcowską troską wypomina narodowi jego grzechy: „Cuchniemy grzechem pedofilii. Cuchniemy grzechem homoseksualizmu. Cuchniemy grzechem LGBT”. Ileż to trzeba odwagi, aby w epoce wojującego marksizmu, nihilizmu i ateizmu podnieść kapłański palec i wskazywać ku niebu, zwrócić się do zablakanych owieczek z apelem o opamiętanie. Bo Bóg patrzy z krzyża na sromotę i nic nie może uczynić, aby jej zaradzić. Ludzie, których obdarzył łaską wolności, zamiast używać jej dla okazania posłuszeństwa swemu Stwórcy oraz wypełniania jego przykazań, wpisanych w sumienia złotymi zgłoskami prawa naturalnego, sprzeciwiają się Jego woli i sami zatraskują sobie drzwi do Królestwa Bożego.

Z pewnością jest pan Wojda odważny. Wie, czego chce Stwórca, a zwłaszcza wie, że jest on sfiksowanym homofobem i sadystą, który najpierw stworzył miliony gejów, a potem zamierza ich wszystkich wysłać do piekła. Zanim zaś znajdą się tam, gdzie ich miejsce, muszą jeszcze przez jakiś czas nam tutaj pocuchnąć. Taka widocznie jest wola nieba, a z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Pan Wojda, znany dotychczas głównie z wielkiego serca okazywanego zboczonemu podwładnym, wspominał również o cuchnącym grzechu pedofilii. Jednakże jakoś nie odniósł się w tych wypowiedziach do swoich kolegów, składających się na grupę społeczną o dość złowrogo brzmiącej nazwie „kler katolicki”, a przecież nie jest tajemnicą, że akurat gejów i pedofilów jest w tym środowisku wielokrotnie więcej niż pośród mężczyzn w ogólności. Czyżby więc pan Wojda chciał swoją tyradą uderzyć w swoich kolegów, tyle że aluzyjnie, bez wskazywania ich palcem? Bardzo wątpliwe. Raczej już uciekł się do sztuczki retorycznej, którą można nazwać odbijaniem pieczki. Skoro będąc księdzem, piętkuje pedofilie i homoseksualizm, to pewnie nie wie, że są to zjawiska wyjątkowo często występujące pośród księży. Bo przecież, gdyby to wiedział, to ze wstydu siedziałby cicho, żeby tylko nie przypominać o tej sprawie. Można więc uznać, że nie wie. A dlaczego nie wie? Ano może dlatego, że to wcale nie jest prawda, tylko wredna propaganda wrogów Kościoła?

Jak sądzę, dokładnie tak to sobie pan Wojda umyślił, żeby w ten sposób załgać prawdę o swoim środowisku. Zupełnie jak złodziej wołający: „Łapać złodzieja!”. Znamy te sztuczki. Są obrzydliwe. Ale w retoryce Wojdy i jego upierścienionych koleżków najbardziej odrażająca nie jest nawet obłuda i zakłamanie, lecz ohydne zniesławianie osób LGBT. Wymieniając jednym tchem pedofilów z homoseksualistami, sugeruje, że jedno z drugim jest jakoś powiązane, to znaczy, że jak ktoś jest gejem, to ma przez to – z dużym prawdopodobieństwem – skłonności pedofilskie i pedofilskich czynów się dopuszcza. A to się nazywa szcunie.

Kościół katolicki ma bardzo długą tradycję szczucia i zniesławiania. Wszystkich kocha i o wszystkich się troszczy, ale jak ktoś się nie chce nawrócić i ukorzyć, to cóż, sam już sobie jest winien. Dla Żydów, masonów, komunistów, liberałów, ateistów, pogan, satanistów, homoseksualistów miejsca w niebie nie ma. A skoro Bóg ich u siebie nie chce i inne im szykuje mieszkankie, to nie godzi się człowiekowi nic innego jak ze wstrętem odwrócić się od tych, których z powodu ich zatwardziałości w grzechu Bóg odrzucił precz bądź w ogóle w łaskawości swojej nie raczył obdarzyć ich łaską uświęcającą (albo raczył nie obdarzyć ich tą łaską, ale ten szczegół pozostawiam już do rozstrzygnięcia opłacanym z budżetu państwa tzw. teologom moralnym).

Bardzo, jak widać, warunkowa jest chrześcijańska miłość. Musi wszak ona podążać za wolą bożą, a ta jest kapryśna. Jak się Pan Bóg zdernerwuje, to nie ma zmiłuj! Tak więc kochamy, kochamy, zapraszamy, całujemy, przytulamy, ale jak już nie, to *apage satanas!* Kto nie z nami, ten przeciwko nam! Ba! Gdybyż tylko przeciwko nam! Kto nie z nami, ten przeciwko Bogu! Czym może być sprawiedliwa kara za coś tak potwornego jak odrzucenie miłości Boga i jego ofiary na krzyżu? Czy można sobie wyobrazić torturę wystarczająco srogą, aby mogła dać Bogu zadośćuczynienie za odrzucenie Jego miłości? Nie, nie ma na to kary. Z pewnością nie jest nią

śmierć. Bo śmierć to kara i nie kara – nie cierpi, kto umarł. Co może więc połączyć śmierć z niekończącym się cierpieniem? Ano tylko chwila śmierci rozciągnięta na wieczność. Czyli nigdy się niekończąca.

I to jest właśnie piekło – umieranie bez końca. Tam mają trafić geje, lesbijki, masoni, ateści i wszyscy, którzy trwając w grzechu przeciwko prawu naturalnemu i prawdziwej wierze, nie nawrócą się i nie ukorzą. Sadyzm? Dokładnie tak. Nauczanie największych doktorów Kościoła, czyli św. Augustyna i św. Tomasza, nie pozostawia pod tym względem wątpliwości. Mili ci panowie wyróżniają w zbawieniu trzy elementy: wizję uszczęśliwiającą Boga, świętych obcowanie oraz... spoglądanie w czeluści piekielne i gratulowanie sobie, że uniknęło się potępienia.

Czy można mieć pretensję do takich Wojdów i innych tam Jędraszewskich, że zatruwają świat swoją podłą, obłudną i przepojoną nienawiścią mową? Ze są tak głęboko zdemoralizowani, zepsuci i pyszni? Przecież wychowano ich w systemie opartym na najbardziej pokretniej i obłudnej wrogości, na nienawiści i załganiu tak dokumentnym, że sam diabeł się na tym nie wyzna. Gdy od małego oglądasz dobroć i miłość jako prześmiewcze kostiumy dla błaznujących sadystów i w ogóle nie masz styczności z normalnymi uczciwymi ludźmi, to trudno ci obwiniać. Zgoda. Tylko że ani pan Wojda, ani żaden inny biskup nie może się tak tłumaczyć. Bo dobrych i szczerych ludzi jest zbyt wielu, żeby nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach wychowawczych jakkolwiek przyszył ksiądz i biskup nie miał sposobności się z nimi zetknąć i na nich się wzorować. Na którymś etapie życia po prostu wybrali zło – pychę, nienawiść i obłudę, które poprowadziły Kościół przez ciągnącą się całymi wiekami od kontynentu do kontynentu kalwarię wszystkich jego niesłychanych zbrodni (wedle oficjalnej doktryny zbrodni będących świadectwami jego świętości i udręczenia przez szatana). Jednego wszak panowie Wojda, Jędraszewski i im podobni mogą być pewni: nie pójda do tego swojego piekła. Bo dzięki łasce Boga, który raczył nie zaistnieć, piekła nie ma. A więc hulaj dusza, biskupie Wojda! Sekretarzuj niestrudzenie swojej KEP, siej nienawiść i pogardę, a płony twej posługi będą obfite. Mierzone kolejnymi milionami Polaków, którzy przestaną do was chodzić i rzucić wam pieniądze do wieczne głodnych koszyków. Tylko nie zapomnij każdego dnia spryskać się wodą kolońską. Coby nie cuchnęło!

JAN HARTMAN

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Nie ma dnia, by media nie atakowały **Radia Maryja**, **Telewizji Trwam**, a przede wszystkim ich założyciela. Od ponad 30 lat o. dr Tadeusz Rydzik jest przedmiotem szykan i manipulacji. Radio Maryja stworzył w 1991 r., pomimo braku pieniędzy, infrastruktury i perspektyw finansowych. **Stało się ośrodkiem wolnej myśli, odtrutką na medialną propagandę III RP, kuźnią krytycznego myślenia.** Zjednoczyło miliony ludzi w Polsce i na świecie, stając się istotnym ośrodkiem medialnym dla Polonii. Formowało odpowiedzialne społeczeństwo obywatelskie – świadome i rozumiejące procesy polityczne. Spełniło w polskiej historii niebagatelną rolę. **Bez toruńskiej rozgłośni z pewnością nie udałoby się obalić patologicznego układu III RP, było niczym Radio Wolna Europa.** I właśnie dlatego jest tak prześladowane.

Marzena Nykiel, wPolityce.pl, 16 marca

■ **Największym ciemnogrodem, intelektualnym zaścianiem XXI w.,** zaprzeczającym naukowym faktom – w tym prawom biologii – są **zwolennicy aborcji. Dopuszczając się gwałtu na rozumie, uprawiają emocjonalny bełkot.** Wspomnę jeszcze ich egoistyczne zaślepienie i hedonistyczną próżność. Dramat.

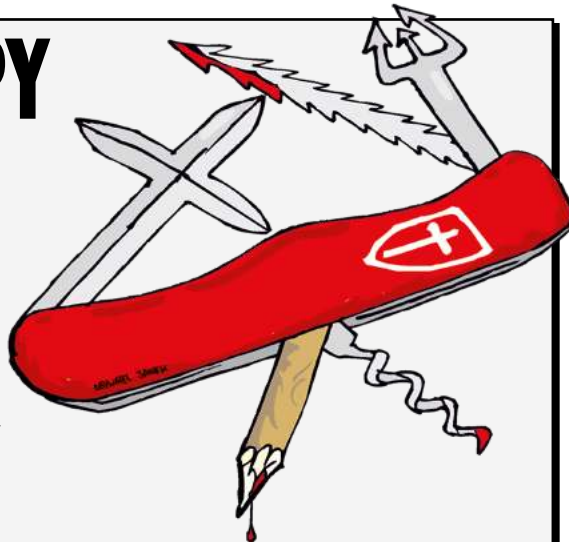
ks. Daniel Wachowiak, X, 10 marca

■ W gmachu Parlamentu Europejskiego w Brukseli jest na parterze pomieszczenie określone jako ekumeniczne. Przedstawiciele poszczególnych religii mogą w nim celebrować swoje obrządki i uroczystości. Na zasadzie: „dla każdego coś miłego”. Nie ma tam żadnych symboli wiary – żeby nie urazić niczyich „uczuć religijnych”. Zatem oczywiście nie ma tam krzyża, choć wydawałoby się, że w historycznie chrześcijańskiej Europie to rzecz naturalna. [...] **W polskim parlamencie, przy wszystkich jego ułomnościach, kaplica sejmowa jest. Tak samo, jak jest miejsce do modlitwy dla chrześcijan na Międzynarodowym Lotnisku imienia Fryderyka Chopina w Warszawie. Cóż, mam nadzieję, że jak zbudują CPK, to też będzie tam kaplica dla katolików.**

Ryszard Czarnecki, Niedziela.pl, 15 marca

■ Wprowadzenie **pigułki antykoncepcyjnej doprowadziło do zaniku wielu umiejętności medycznych, jeśli chodzi o chirurgię i farmakologię,** ponieważ wobec dostępności tej pigułki lekarze przestali stosować te metody. Nagle się okazało, że te pigułki są znacznie mniej skuteczne niż metody stosowane wcześniej, czyli metody chirurgiczne, farmakologiczne ukierunkowane na leczenie przyczynowe.

ks. prof. Piotr Kieniewicz, Radio Maryja, 12 marca



■ **Ważnym momentem był zakaz aborcji eugenicznej,** dlatego że życie jest jednym z głównych priorytetów nie tylko **Konferencji Episkopatu Polski,** ale przede wszystkim społeczności polskiej. To jest albo przeżyć, albo nie przeżyć. Przy takim braku zastępowalności, z jakim mamy do czynienia w tej chwili, **każde działanie promujące aborcję wydaje się samobójstwem popełnianym na społeczeństwie.** Dlatego decyzja Trybunału, która potem spowodowała czarne marsze, była ważna i doniosła, gdyż pokazała jakby szczyt tego, co można osiągnąć w odniesieniu do ochrony życia.

abp Stanisław Gądecki, Dorzczy.pl, 11 marca

■ **Zabicie nienarodzonego dziecka jest również destrukcją pierwotnych więzi międzyludzkich,** gdyż nie ma bardziej intymnych i bliskich relacji między osobami, jak między matką i ojcem oraz ich nienarodzonym dzieckiem. [...] Jak człowiek może czuć się pewnie we współczesnym świecie, skoro nawet więź rodziców z dzieckiem nie zabezpiecza go przed utratą życia z ich strony? **Jak zapewnić sobie i bliskim poczucie bezpieczeństwa, gdy najbliżsi dziecku, jego rodzice, tak beztrosko czyhają na jego życie, a śmierć dziecka jest dla nich nic nieznanym epizodem?**

prof. Dorota Kornas-Biela (KUL), Radio Maryja, 12 marca

■ **Donald Tusk jest ogarnięty nienawiścią do życia.** Jego deklaracje są bardzo czytelne: szuka lewacką dyktaturę, w której nie ma miejsca na godność i poszanowanie drugiego człowieka. Jest wyłącznie przemoc prawną, emocjonalna, a także fizyczna [...]. **W przypadku aborcji to jest niszczenie narodu. Takie szatańskie prawo obowiązuje już w kilku państwach Europy, które uległy terrorowi ideologii śmierci.**

Marcin Warchol, Suwerenna Polska, „Nasz Dziennik”, 11 marca

Wybrał KLECHA

Pękający gmach Kościoła.

Rodzimy katolikom mało było psot. Postanowili zatem wcielić w życie nowy koncept: Pro Ecclesia Universali – bo tak nazywa się świeża kampania świeckich katoli znad Wisły – to inicjatywa, która ruszyła z początkiem marca i ma zadanie bronić Kościoła w obliczu synodalnego procesu jego dezintegracji. Fundamentem akcji jest rozpowszechnianie broszury „Odpowiedzialność biskupów za Kościół powszechny w czasach zamętu” poświęconej roli biskupów w Kościele. Materiał został przygotowany w kilku językach: polskim, angielskim, francuskim, hiszpańskim i portugalskim. Broszura została rozesłana do wszystkich polskich biskupów i księży, mało tego, wkrótce dotrze do wszystkich biskupów z całego świata (!) – tak przynajmniej twierdzą jej twórcy, a trzeba przyznać, że grono to znaczne, a sam materiał kreatywny, że nie w mąkę pierdział. Czy polscy katolicy rozumieją Watykan? Bardzo możliwe, a żeby było śmieszniej – od dupy strony.

Nowy porządek

„Zachęćmy słowami Jezusa skierowanymi do Apostołów »Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego przechodź (Mt 5,37)«, postanowiliśmy wydać i rozpowszechnić broszurę zatytułowaną »Odpowiedzialność biskupów za Kościół powszechny w czasach zamętu« – zapowiedzieli autorzy nowej krucjaty na trudne czasy, jasno wskazując, że choć nie stawiają (na razie) na rozwiązywania radykalne, nadeszła pora, aby nieco utemperować przedstawicieli Stolicy Piotrowej, których głowy smagane wiatrem zmian złapały skrzywienie w stronę zgniłego Zachodu.

Motorem do wzmocnionych ruchów robaczkowych chrześcijańskiej kieszki miała być publikacja deklaracji „Fiducia supplicans” o błogosławieniu par nieregularnych i homoseksualnych, ale biorąc pod uwagę skład gremium specjalistów zabierających się za umoralnianie

Katolicka

Kościola oraz efekt ich twórczości, trudno nie odnieść wrażenia, że na naszych oczach rodzi się twór na kształt przykościelnej bezpieki.

Na całkiem sporej liście organizacji wznowszających maszt Pro Ecclesia Universali figurują korporacje, których nazwy puściłyby rynne po nodze niejednego religijnego fundamentalisty spod znaku zbitych na krzyż badyli: Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi, uczelnia Collegium In-
termarium, Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, Centrum Wspierania Inicjatyw dla Życia i Rodziny, Fundacja Nowy Nazaret, Krucjata Różańcowa za Ojczyznę. Żeby było bardziej międzynarodowo, w girlandzie chrystusowych baboli znalazły się: skrajnie konserwatywna antyaborcyjna Life Site News, Tradition – Family – Property z Nowej Zelandii, Sacred Heart Media LLC z USA czy Centro Cultural Cruzada z Kolumbii. Wszystkie one są zagranicznymi odpowiednikami tych polskich i niech to wystarczy do nakreślenia ich profilu. Co więcej, wiele wskazuje na to, że w tańcu się nie pierdola.

Bicie papieża

Instrukcja pacyfikowania kleszych zapędów składa się z trzech zasadniczych części. Przedstawia Tajemnicę Kościoła; rolę i kompetencje Magisterium Kościoła, a całość wieńczy sytuację wymagającą interwencji biskupa, i to właśnie na tym zakręcie kumuluje się samo gęste tego skomplikowanego procesu. „Powyższa analiza wskazuje, że biskupi są odpowiedzialni za strzeżenie depozytu zarówno we własnych diecezjach, jak i na forum powszechnego Kościoła. Na różnych płaszczyznach to zadanie powinno być różnie realizowane. W sytuacji wyjątkowej potrzebne jest także napomnienie braterskie kierowane względem braci w biskupstwie, a nawet względem głowy kolegium biskupiego. Pozostaje wskazać sytuacje, w któ-



Rok

temu Ordo Iuris przeprowadziło przez sejm ustawę „pozostawiającą poza szkołą indoktrynację dzieci i młodzieży przez organizacje społeczne”. Jak to uzasadniał Przemysław Czarnek, ustawa „miała na celu wzmocnienie pozycji i głosu rodziców oraz ich przedstawicieli w szkolnej radzie rodziców w zakresie sprzeciwiania się niepożądanym treściom kierowanym do ich dzieci przez stowarzyszenia lub inne organizacje, prowadzące działalność w szkołach”. Ustawa padła w senacie, a potem były wybory. Teraz do jej tytułu i części zasad chcą wrócić ludzie niemający Boga w sercu. Chcą, aby przerobiona ustawa „Chrońmy dzieci. Wspieramy rodziców” przegoniła ideologię religijną z polskich szkół.

Tymczasem w publicznych świeckich szkołach zarządzanych przez ministrami Barbarę Nowacką ruszyły właśnie nieświeckie rekolekcje. W ich ramach w wielu szkołach odbywały się modlitwy w sali gimnastycznej. Taka praktyka przyjęła się dawno, mimo że nigdy nie było to zgodne z prawem. Za czasów PiS nikt nie musiał więc nic w kwestii rekolekcji zmieniać. Tak samo jak tego, że polska szkoła od lat – w myśl konstytucyjnego prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami – została zawłaszczona przez pasożytujący na niej Kościół katolicki. I świetnie. Statystyki udowadniają, że im więcej Kościoła w szkole, tym mniej uczniów chce mieć cokolwiek wspólnego z katolicyzmem.

Wzbudzanie umiłowania

Szkolę wymyślono po to, żeby uczyła i wychowywała dzieci i młodzież. Rodzice, którzy chcą, aby ich progenitura była wychowywana bardziej, zapisują dzieci do organizacji dziecięcych i młodzieżowych. W większości polskich

Pozwólcie dzieciom...

Jeśli Barbara Nowacka marzy o świeckiej szkole, powinna propagować w niej katolicyzm bardziej niż Czarnek i Zalewska.

szkół po lekcjach można sobie pościć w jakimś chórze i poudzestniczyć w zajęciach sportowych, ale można też zapisać się do szkolnego Klubu Europejskiego, szkolnego koła Ligi Ochrony Przyrody czy innego Polskiego Czerwonego Krzyża i mieć zajęcia z pianą od historii lub biologii. Obok tych form socjalizowania dzieciarni w setkach szkół od lat obecna jest alternatywa w postaci szkolnych kół Caritasu, kół misyjnych, a nawet czegoś o nazwie Adopcja Serca. Ba, rozpanoszyły się w nich też koła Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży i kółka różańcowe. Nie trzeba chyba dodawać, że wszystkim tym organizacyjnym wynalazkom patronuje Kościół.

Gdyby kogoś nurtowało pytanie, co robią przyczółki religii w publicznej placówce edukacyjnej, to niech sobie

przypomni, kto zawiaduje u nas szkołami. Otóż samorządy. A kto trzęsie samorządami w większości gmin? Jasne, że jegomość w czarnej sukience.

Czym zajmują się w szkołach publicznych członkowie kół misyjnych? „Czynnie uczestniczą w Tygodniu Misyjnym poprzez przygotowanie liturgii Mszy”. Ponadto „opiekują się grobami kapłanów – sprzątają je, kupują kwiaty, znicze, pamiętają o modlitwie za nich”, a także „współpracują ze zgromadzeniami misyjnymi” m.in. poprzez „pomoc finansową”, organizują też „akcje duszpastersko-charytatywne, kiermasze świąteczne, podczas których zdobywają środki finansowe”.

Działalność kół misyjnych to dla Kościoła kasa plus darmowa siła robocza, plus indoktrynacja. McDonald's ze swoim – obliczonym na najmłodszych

dyktatura niewierności

rych interwencja jest konieczna ze względu na dochowanie wierności misji i posłudze następ- cy apostołów” – głosi preambuła części trzeciej. Oczywiście można sobie robić podśmiejuchki, że nie o takim grzebaniu w fałdach jestestwa marzą potajemnie biskupi, dowcip jednak pole- ga na tym, że badanie palpacyjne świeckich ka- tolików wypelza daleko poza fioletowe kiecki.

„Pierwszorzędnie reakcji domaga się sytuacja, w której dochodzi do sformułowania i głosz- nia tez w sposób jaskrawy stojący w sprzeczno- ści względem depozytu wiary. [...] Przykładem może być postulat ordynacji kobiet lub udzie- lania im pierwszego stopnia święceń. Temat or- dynacji kobiet formalnie został zamknięty przez św. Jana Pawła II, jednakże nie został zdogma- tyzowany, co sprawia, że co jakiś czas na nowo odżywa on w debacie wewnątrzkościelnej. [...] Oprócz przypadków domniemania zerwania z doktryną (w różnorodnym stopniu) bardzo istot- nymi przesłankami domagającymi się interwen- cji są wyrażenia dwuznaczne w dokumentach Magisterium. [...] Wyraźny przykład dwuznacz- nego sformułowania i zatrutych owoców, które wynikają z możliwości interpretacji zrywającej z dotychczasową praktyką Kościoła, widzimy w tezach adhortacji „Amoris laetitia” (autorstwa papki Franciszka – red.) na temat możliwości dopuszczania do komunii rozwodników żyją- cych w powrotnych związkach niesakramental- nych. Dwuznaczność wypowiedzi spowodowała w wielu Kościołach partykularnych faktyczną zmianę lub usankcjonowanie błędnej praktyki udzielania komunii osobom trwającym w grze- chu ciężkim lub w sytuacji obiektywnie nieupo- rządowanej. Mniemanie części biskupów, że owa interpretacja jest fałszywa, nie zmienia sta- nu rzeczy ani, co stanowi pewnego rodzaju zgor- szenie, nie prowadzi do ich reakcji piętnującej pojawienia się błędnych praktyk” – stoi jak Jezus na wodzie w pokracznym kompendium. Jębiąc papieskie doktryny jak burą sukę, samozwań- cze bojówki piecwoko kreacjonizmu wyluszczyły zgola sprzeczne pobudki swojej aktywności.

„Poprzez wydanie i rozpowszechnianie naszej broszury chcemy wesprzeć wszystkich hierar- chów Kościoła powszechnego, którym zależy na zbawieniu powierzonych im wiernych i którzy publicznie bronią ich przed szerzącymi się błę- dami – nawet gdy płyną one od Tronu Świętego

Piotra. Dlatego – kierując się wiernością wobec papieża i biskupów – jesteśmy zaniepokojeni procesem tzw. drogi synodalnej, który zmierza wprost do dezintegracji hierarchicznej struktury Kościoła ustanowionej przez samego Chrystusa i opartej na władzy danej Piotrowi i Apostołom, aby poprzez jej sprawowanie zatroszczyli się o zbawienie dusz i jedność całego Kościoła po- wszechnego” – piszą twórcy broszury. Taki chuj, nie wierność. To zachęta do donosicielstwa, pu- czu i o ironio – polowanie na czarownicę!

Kuś baba na dziada

Niemiecka Droga Synodalna (Synodale Weg) to seria spotkań części przedstawicieli Kościoła katolickiego w Niemczech, których celem było omówienie współczesnych kwe- stii teologicznych i organizacyjnych dotyczą- cych funkcjonowania Kościoła w tym kraju – przynajmniej w oficjalnym brzmieniu. Pod względem wiarygodności Kościół katolicki zajmuje dziś szóste miejsce od końca wśród funkcjonujących w tym kraju instytucji. Ufa mu jedynie 18 proc. badanych. Według niemieckich so- cjologów za 40 lat liczba tak ewan- gelików, jak i katolików zmniejszy się o połowę. Dla kleru to podwój- nie kiepska informacja, bo topnie- jąca liczba obywateli przynaj- mujących się do związku z Kościołem brutalnie przekłada się na jego finanse. W 2017 r. rezy- gnację z dalszego pła- cenia podatku kościel- nego (co w Niemczech jest traktowane jako wystąpienie z Kościoła) zadeklarowało 167 tys. ka- tolików, rok później – 216 tys. W 2022 r. ponad 522 tys. katoli- ków zrezygnowało z finansowego lechtania klechistanu. Niemiecki kler dojechał gołą dupą po zwirze do ściany i postanowił ratować się na własną rękę. Puszczanie oka do pozycji ko- biet w Kościele, liberalizacja szeroko pojętej ety- ki seksualnej czy debata o przyszłości celibatu to ostatnie karty przetargowe, jakimi może zahan- dlować ta gnijąca kreatura.

Wbrew pozorom papież Franciszek w całej swo- jej wielorakiej osobowości wcale nie przyklasnął pomysłowi. Kiedy Droga Synodalna zdecydo- wała się powołać Radę Synodalną jako instytucję zarządzającą Kościołem lokalnym w Niemczech, Watykan pogroził palcem, argumentując, że takie ciało odbierałoby suwerenność tamtejszym bi- skupom. 10 listopada 2023 r. 74 reprezentantów Drogi na kongresie w Essen rozpoczęło prace Komisji Synodalnej, żeby wdrożyć uchwały DS,



akceptujące związki i zachowania homoseksual- ne, a także nowe prawo pracy dla osób ze społecz- ności LGBT w instytucjach kościelnych. To rów- nież nie spodobało się Franciszkowi, bo niemiec- kie struktury kościelne tak bardzo rozjechały się z Rzymem, że nie szło wyliczać pęknięcia.

Opublikowana 18 grudnia 2024 r. przez Dy- kasterię Nauki Wiary – a obszczana z każdej strony przez katolickie konserwy – deklaracja „Fiducia supplicans”, o znaczeniu duszpaster- skim błogosławieństw, pozostaje niezachwiana w tradycyjnej doktrynie Kościoła dotyczącej małżeństwa, nie dopuszczając żadnego rodzaju obrzędu liturgicznego lub błogosławieństw po- dobnych do takiego obrzędu w tyłu punktach (z opisem), że trzeba przefasonować logikę na szczerbatą kurwę, aby tego nie dostrzec. Nie- mniej smród za Franciszkiem srogo zgęstniał.

Biskupowi w morde

„Ostatnią kwestią, którą należy poruszyć ze względu na budowanie dobrego klimatu rozezna- wania, jest świadomość różnicy między intencjami a ich słusnością. Fakt posiadania dobrych intencji wśród ludzi decyzyjnych w Kościele nie stanowi w żadnym wypadku argumentu za słusnością i właściwym kierunkiem zmian. Podobnie jak cel nie uświęca środków, tak też można powiedzieć, że dobre intencje (środki) nie uprawomocniają słusności celu (niewłaściwego rozwiązania)” – czytamy w ostatniej części broszury.

Pro Ecclesia Universalis powstała nie z tro- ski o Kościół, a z chęci wykorzystania słabo- ści Watykanu i kopnięcia go z półobrotu.

Katolicycy ultrasi wyczuli moment, kiedy mogą wsadzić kij w szprychy, i nie omieszkają z tej szansy skorzystać. Chcąc utrzymać ostatni ba- stion chrystusowego fundamentalizmu, będą mozolnie oddzie- lać gówno od plew, choćby i za cenę kolejnego ferment- tu. Budując siatkę podejrzeń, oskarżeń i waśni w imię wła- snych ideałów, wyleją katabasa z kąpielą.

Pozostaje się cieszyć. Im więcej pęknieć na fasadzie religijnego okupanta, tym rychlejszy jego upadek. Na im więcej części się rozpadnie, tym mniejsze ryzyko, że się poskleja.

ITALIA DUBICKA

– programem lojalnościowym o nazwie Happy Meal może się schować.

Szczególnym sposobem Kościoła na wymuszenie na rodzicach uczniów „dobrowolnych” wpłat jest Adopcja Serca, czyli zbieranie kasy i modlenie się za biednego małego niebiałego. Oficjalnie brzmi tak: „Adopcja Serca to pomoc konkretnemu dziecku żyją- cemu w Afryce, które jest sierotą lub którego rodzice są w bardzo trudnej sytuacji finansowej”. Kościół prze- strzega, że „osoba, która podejmie się takiej adopcji, musi być odpowie- dzialna i świadoma zobowiązania. Zostając Opiekunem, zapewnia swo- jemu Podopiecznemu opłacenie koszt- ow nauki – mundurka, przyborów, czesnego, w starszych klasach także internatu”. To perfidna socjotech- nika. Który bowiem rodzic odmówi dziecku brania udziału w tak szczyt- nym przedsięwzięciu?

Kościelnymi przyzółkami w szko- łach zajmują się najczęściej nauczy- ciele religii. Bardzo często robią to za dodatkową kasę wysupływaną przez samorządy na opłacanie zajęć po- zalekcyjnych. Jedną z takich katechetek o swojej pozalekcyj- nej działalności pisze na Face- booku: „W naszej szkole od 22 lat działa Szkolne Kołko Różańcowe, do którego należy

96 uczniów. Odmawiają oni codzien- nie dziesiątkę różańca w różnych in- tencjach. W czerwcu zaś pielgrzymują do Matki Bożej, aby podziękować za cały miniony rok. W czasie spotkania dzieci z całej Polski towarzyszą nam zawsze śpiew, tańce i modlitwa. Uczest- niczymy we wspólnej Mszy świętej. Pod koniec uroczystości są specjalnie przygotowane losy – rowery”.

Kółka organizują też dla wszyst- kich uczniów szkolne konkursy na najpiękniejszy różaniec w celu „roz- budzenia umiłowania modlitwy różańcowej”. Konkurs przeznaczony dla maluchów z klas I-II polega na

tym, że „uczeń wykonuje różaniec dowolną techniką z trwałych ma- teriałów”, a „prace po konkursie i ekspozycji zostaną zwrócone uczest- nikom”. Co oznacza, że szkoła ma obowiązek znalezienia sensownego miejsca na wystawę różańców.

Bez księdza ani rusz

Alternatywą dla kół misyjnych są szkolne placówki Caritasu. To ka- tolickie organizacje uczniowskie zajmujące się działalnością charyta- tywną, opiekuńczą i wychowawczą. Czyli konkurencja dla PCK. Mają tę przewagę, że żaden dyrektor szkoły nie odmówi założenia koła Carita- su, mimo iż w jego działalność musi być zaangażowanych dwoje jego pra- cowników. Oficjalny kwit Caritasu ujmuje to tak: „W sprawach wychowawczych i organizacyjnych opiekę nad Kołem sprawuje Opiekun Koła, którym jest Nauczyciel Szkoły, zatwierdzony przez Dyrektora Szkoły w porozumieniu z Dyrektorem Caritasu. Natomiast opiekę duchow- ą nad Kołem sprawuje Asystent Koła, którym zazwyczaj jest kate- cheta”. Część zadań szkolnych kół Carita-

su prowadzona jest na „płaszczyźnie formacyjnej” (cokolwiek to znaczy) poprzez „pogłębianie znajomości oraz szerzenie nauki Jezusa Chrystusa o miłosierdziu Bożym. Kształtowanie osobowości katolika i Polaka. Budo- wanie postawy odpowiedzialności za Kościół i Ojczyznę. Rozwijanie prak- tyk religijnych w życiu osobistym i wspólnotowym, zwłaszcza troska o pełne uczestniczenie we Mszy św.”.

Każda polska diecezja na swojej stronie internetowej ma informacje, „jak założyć szkolne koło lub oddział Katolickiego Stowarzyszenia Mło- dzieży”. Najważniejsze jest na począt- ku: „Oddział KSM nie może istnieć bez księdza, który jest asystentem kościelnym. W związku z tym, aby założyć oddział, należy poprosić księ- dza proboszczą, by wyznaczył kapłana do tej funkcji. Ks. proboszcz również może być asystentem KSM”. Pal jed- nak lichy oddział organizacji mło- dzieżowej, na którego czele stoi nieco dorosły proboszcz, istotna jest wszak struktura podstawowa. Samouczek diecezjalny stanowi zatem: „Koło KSM może działać w szkole podsta- wowej i szkole średniej. Aby założyć Koło KSM, należy zebrać grupę przy- najmniej 5 osób. Rola opiekuna Koła KSM jest bardzo prosta. Pojawia się on dopiero na szczeblu szkolnym. Jest nim nauczyciel lub katecheta świecki szkoły, w której jest KSM. Opiekun pełni rolę konsultanta, doradcy dla członków koła oraz reprezentuje KSM na radzie pedagogicznej”. Ostatni raz reprezentowanie organizacji uczniow- skiej na radzie pedagogicznej funkcyj- nowało w polskich szkołach za czasów stalinowskich, gdy działał ZMP.

Czuj Duch Święty!

Pisząc o organizacjach indoktrynują- cych katolicko młodzież w publicznych szkołach, nie sposób nie wspomnieć

o harcerstwie. Druhowie i drużny z reguły reprezentują barwy Związku Harcerstwa Polskiego, ale czasem też Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej.

Ci ostatni byli, są i będą oficjalną skautowską przybudówką Kościoła. Ich stosunek do świata jest wyrażany w prawie harcerskim i przyrzeczeniu. Rota przyrzeczenia brzmi: „Harcerz służy Bogu i Polsce i sumiennie speł- nia swoje obowiązki”.

ZHP liczy dziesiątki tysięcy człon- ków, którzy przyrzekają następująco: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusz- nym Prawu harcerskiemu”. Zuchy obu stowarzyszeń mają obowiązek „kochać Boga i Polskę”.

Brzmi to o tyle zabawnie, że w sta- tucie ZHP widnieje i taka deklaracja: „ZHP jest dobrowolnym stowarzys- zeniem otwartym na wszystkich, bez względu na pochodzenie, rasę czy wy- znanie”. Czy zatem harcerzem może być mały ateista lub wyznawca kultu bez Boga, na przykład buddysta? Nie bardzo.

Związek Harcerstwa Polskiego na- leży do Międzynarodowej Katolickiej Konferencji Skautingu oraz Między- narodowej Katolickiej Konferencji Skautingu Żeńskiego, a także Mię- dzynarodowego Porozumienia Skau- tów Prawosławnych.

O to, żeby polska dzieciarnia była głęboko wierząca, dbają więc księża, katecheci, druhowie, dyrekcje i kto tylko może. Efekt jest taki, że odpływ młodych Polaków od religijności bije światowe rekordy. Tego doskonałego mechanizmu ateizacji nie ma więc co psuć.

Bo bez względu na to, co będzie chciało się wcisnąć dzieciakom, każdy ośmiolatek i tak odpowie, że książd to pedofil.

TADEUSZ JASIŃSKI



**Rzeczpospolita Polska robi wszystko,
żeby obywatele nie próbowali się rozmnażać.**

Mniej niż człowiek

Dziś na ogrodzonych osiedlach mamusie i tatusiowie siedzą na ławeczkach wokół placów zabaw i wpatrują się niczym w obrazek w jedena-stolatków grzebiących w piaskownicach i sied-miolatków śmigających na rowerkach z czterema kółkami.

Czterdzieści lat temu przed zapadnięciem zmroku na wszystkich polskich blokowiskach słychać było darcia typu: „Juuureeeek! Baaasia-aa! Do dooomuuu!”. Tak rodzice nawoływali z okien małowatów bawiących się na podwór-kach. Dziś to nie do pomyślenia.

Podwórko jako instytucja wychowawcza znik-nęło. Dzieci, zamiast socjalizować się we wła-snym gronie, ucząc się samodzielnie współpracy i rywalizacji w grupie, są zdane na rodziców, któ-rzy w każdej chwili mogą je obronić. W ten spo-sób stają się – co zauważają wszyscy psycholo-gowie – niedorozwinięte społecznie. Przy okazji cofają w rozwoju rodziców, którzy zamiast zająć się czymś konkretnym, wysilają swój intelekt na baczenie, który szczeniak obsypał piaskiem ich latorośl.

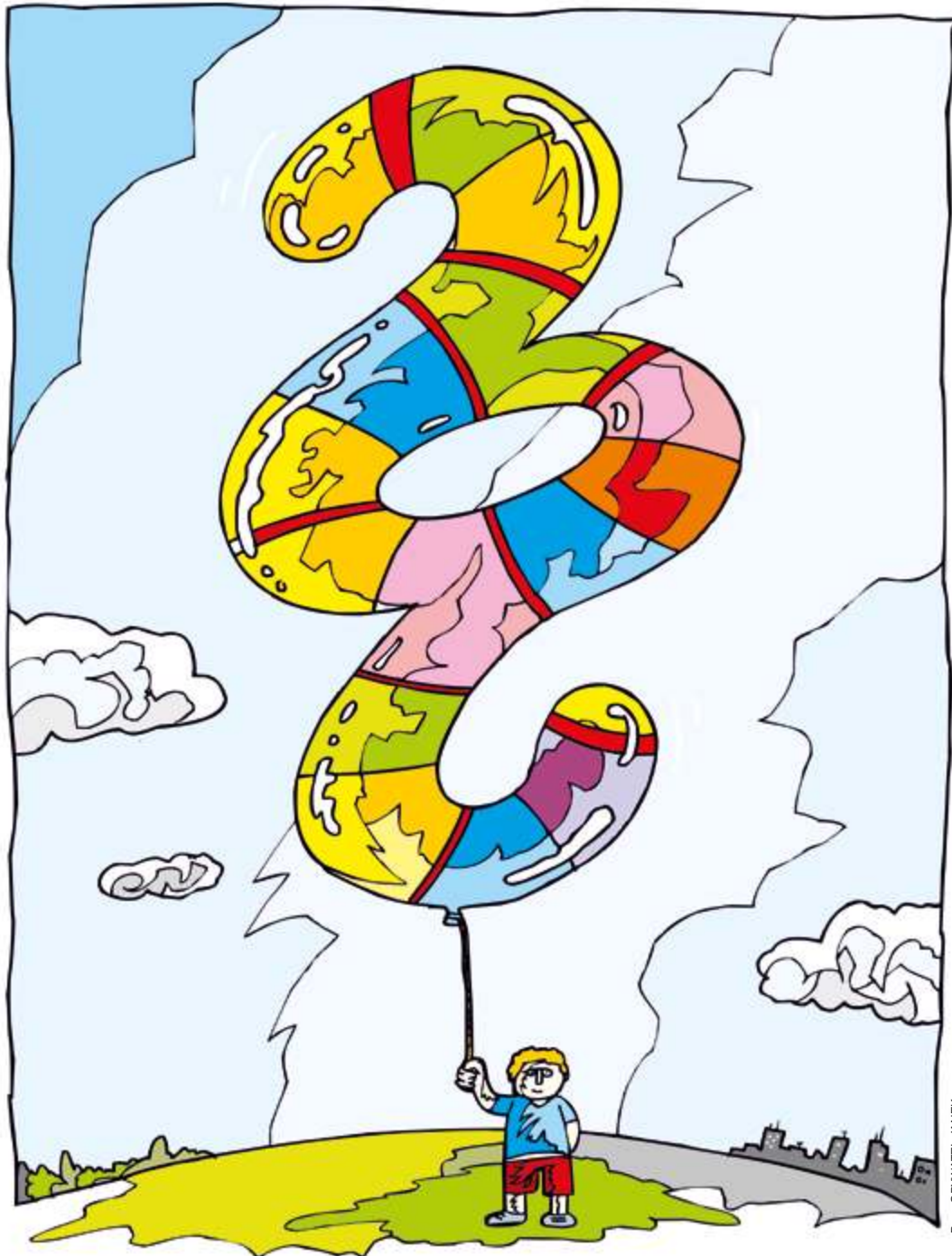
Zamiast relaksować się w ciszy i sączyć w domu piwo, latając pilotem po kanałach telewizyjnych, rodzice dorabiają się więc hemoroidów, wciska-jąc tyłki w twarde ławki z tego prostego powodu, że lepiej siedzieć na ławce niż w więzieniu.

Wbrew obowiązкови

A mają się czego bać. Tym czymś jest artykuł 210 Kodeksu karnego, który w paragrafie 1 sta-nowi: „kto wbrew obowiązкови troszczenia się o małoletniego poniżej lat 15 albo o osobę niepo-radną ze względu na jej stan psychiczny lub fizyczny osobę tę porzuca, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5”. Tyle że para-graf 2 stanowi: „jeżeli następstwem czynu jest śmierć osoby określonej w par. 1, sprawca podle-ga karze pozbawienia wolności od lat 2 do 15”. Oczywiście każdy prawnik odpowie, że takie po-rzucenie oznacza działanie polegające na opu-szczeniu dziecka lub osoby nieporadnej połączone z zaprzestaniem troszczenia się o nią, bez zapew-nienia jej opieki ze strony innych osób. Ale we-zwany przez sąsiadów policjant czy inny straź-nik miejski prawnikiem nie jest. Więc na wszel-ki wypadek wpakuje dzieciaka do izby dziecka i zawiadomi prokuraturę oraz media. Media zrobią z rodzica potwora, a takiemu potworowi sędzia przepuścić nie może, bo wtedy media po-tworem nazwą sędziego.

Bycie rodzicem osoby małoletniej wyklucza spanie. Zabrania tego Kodeks wykroczeń w ar-tykule 82 par. 2: „Kto zostawia małoletniego do lat 7 w okolicznościach umożliwiających mu wzniesienie pożaru, podlega karze grzywny albo karze nagany”.

Wyklucza też przebywanie rodziców w in-nym pokoju, a nie daj Boże na jakimś strychu czy w piwnicy. Wychodzi na to, że gdy zamierza się spuścić wzrok z dziecka, należy uniemożli-wić mu poruszanie się, czyli związać. Tyle że okutanie w kaftan bezpieczeństwa i przywiąza-nie do krzesła jest karą cielesną, której według Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego przecież stosować nie wolno. Ale ponieważ przepis nie jest obarczony żadną karą za niestosowanie się do niego, to katowanie dziecka jest jedną z nie-wielu przyjemności, na które rodzicowi pań-stwo pozwala.



Okoliczności niebezpieczne

Zabrania mu jednakże pić alkoholu. Wyrodni rodzice z promilami pchający wózki są bowiem bardzo łatwym celem dla patroli i mediów. Żeby było ciekawiej, o ile w prawie o ruchu drogowym są wyznaczone dopuszczalne granice promili, o tyle przy kierowaniu wózkiem nie ma. Wystar-czy byle syrop wyczuty przez strażnika. Pozwa-la mu na to artykuł 106 Kodeksu wykroczeń. Mówi on: „kto, mając obowiązek opieki lub nadzoru nad małoletnim do lat 7 albo nad inną osobą niezdolną rozpoznać lub obronić się przed niebezpieczeństwem, dopuszcza do jej przeby-wania w okolicznościach niebezpiecznych dla zdrowia człowieka, podlega karze grzywny albo karze nagany”.

Rozporządzenie ministra spraw wewnętrz-nych i administracji nałożyło na strażników miejskich obowiązek egzekwowania tego przepi-su i nakładania mandatów. Co oznacza „dopusz-czenie do przebywania w okolicznościach nie-

bezpiecznych dla zdrowia”? Wszystko! Litera-lnie wszystko! Rodzica można ukarać – choćby wlepiając mandat – bo dziecko nie ma szalika, więc zachoruje. Bo rozwiązały mu się sznurówki i przewróci się, łamiąc sobie kończynę albo pod-stawę czaszki. Bo wózek był pchany na chodni-ku obok ludzi palących papierosy, które są prze-cież przyczyną wielu groźnych chorób.

Jakby tego było mało, na podstawie tego pa-ragrafu władza może nas na skutek telefonu od zatroskanego dobrem dziecka sąsiada nawiedzić w domu, gdy świętujemy szampanem rocznicę małżeństwa, i stwierdzić, że jesteśmy zwyrod-niałymi alkoholikami niezapewniającymi dziec-ku bezpieczeństwa. A jeśli w to nie uwierzymy, to następnego dnia upewni nas w tym tekst w ta-bloidzie.

O tak banalnej możliwości jak kara za bycie ze znajomymi w knajpie na lampce wina, gdy obok w wózku śpi dziecko, nie ma co wspominać. O wożeniu dzieciaka samochodem, gdy może w nas coś wjechać, o chodzeniu po parku i narażaniu dziecka na psychiczną traumę skutkującą dolegliwościami psychicznymi z powodu ze-tnięcia się z kopulującymi gołębiami – też nie.

Ponieważ prawo stanowi, że człowiek jest już od chwili poczęcia, to tenże 106 artykuł zakazuje picia alkoholu i palenia papierosów już w czasie ciąży.

Tory pojazdu szynowego

Najmieszniej w tym kontekście brzmi artykuł 43 Prawa o ruchu drogowym. Stanowi: „Dziecko w wieku do 7 lat może korzystać z drogi tylko pod opieką osoby, która osiągnęła wiek co najmniej 10 lat. Nie dotyczy to strefy zamieszkania”. Jak się to ma do poprzednich przepisów? Bo wycho-dzi na to, że 10-latek może opiekować się malu-chem na drodze, ale w mieszkaniu już nie.

To jeszcze jedna perełka. Artykuł 89 kw: „Kto, mając obowiązek opieki lub nadzoru nad mało-letnim do lat 7, dopuszcza do przebywania ma-łoletniego na drodze publicznej lub na torach pojazdu szynowego, podlega karze grzywny albo karze nagany”. Znaczy się, jeśli pięciolatek,

będąc w towarzystwie 10-latka, oddali się na kilka metrów, to 10-latkowi sąd wejdzie na hipotekę?

O tym, że dziecka nie wolno uderzyć, każdy wie. Ale nikt nie zdaje sobie sprawy, że nie moż-na dziecka ukarać odebraniem zabawki. A prze-cież w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym w artykule 101 stoi jak byk w par. 1: „Rodzice obowiązani są sprawować z należytą staranno-ścią zarząd majątkiem dziecka pozostającego pod ich władzą rodzicielską”, a par. 2 mówi wprost, że „Zarząd sprawowany przez rodziców nie obejmuje zarobku dziecka ani przedmiotów oddanych mu do swobodnego użytku”.

Jakby tego było mało, to rodzicowi nie wolno mieć telewizora, laptopa, komórki, a nawet gazet i książek. W każdym z tych przedmiotów może być coś, za co idziemy siedzieć. Kodeks karny art. 200 w par. 3 mówi: „Kto małoletniemu po-niżej lat 15 prezentuje treści pornograficzne lub udostępnia mu przedmioty mające taki charak-ter albo rozpowszechnia treści pornograficzne w sposób umożliwiający takiemu małoletniemu zapoznanie się z nimi, podlega karze pozbawie-nia wolności do lat 3”. Dzięki polskim prawo-dawcom można resztę życia spędzić w sądach, udowadniając, co jest, a co nie jest pornografią albo udostępnianiem.

Stosunek zależności

Jakby tego wszystkiego było mało, rodzicom nie wolno uczyć dzieci higieny, a już broń Boże się kąpać. Istnieje bowiem artykuł 200, który tego stanowczo zabrania. Artykuł ten jest uko-chany przez prawników prowadzących sprawy rozwodowe. Wystarczy, że go przytoczą, a pozwa-ny zgadza się na wszystko, żeby tylko nie zostać kazirodczym pedofilem. Albowiem: „Kto obcuje płciowo z małoletnim poniżej lat 15 lub dopuszcza się wobec takiej osoby innej czynności sek-sualnej lub doprowadza ją do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania, podlega kar-ze pozbawienia wolności od lat 2 do 15”.

Wedle tego prawa wszyscy rodzice to kazi-rodczy pedofile. Jak bowiem wykapać dziecko bez dotykania jego genitaliów? Jak wypucować pokryty kupą srom małej dziewczynki, nie do-cierając z mydłem między wargi sromowe? Jak zabezpieczyć małego chłopca przed zwężeniem napletka, czyli stulejką, i nauczyć go dokład-nego mycia siusiaka? W sądzie subtelności nie będzie. Dotykałeś lub dotykałaś, jesteś winny/ winna, bo to była inna czynność seksualna.

Dla każdego prokuratora współżycie seksualne rodziców, gdy obok przebywają małoletni, wy-czerpuje znamiona paragrafu 4 art. 200 Kodeksu karnego. W nim stoi twardo, że „kto w celu swo-jego zaspokojenia seksualnego lub zaspokojenia seksualnego innej osoby prezentuje małoletnie-mu poniżej lat 15 wykonanie czynności seksual-nej”, zasługuje nawet na trzy lata odsiadki.

Prezentować można zarówno wizualnie, jak i dźwiękowo. Dlatego tatuś posuwający ma-musię krzyczącą: „rznij mnie jak sukę”, gdy dzieciak jest w domu, postępuje przestępco. Mamusia zresztą też. Dla Ordo Iuris, które specjalizuje się w pisaniu komentarzy prawni-czych, „przestępstwo z art. 200 par. 4 kk należy do kategorii przestępstw kierunkowych, a więc można je popełnić jedynie w zamiarze bezpo-srednim”. Z czego wynika, że rodzice usku-teczniający przy dziecku seks nie mogą mówić, że nie zdawali sobie sprawy, że są de facto pe-dofilami. I to nawet o połowę gorszymi od tych z dzieckiem niespokrewnionych. Dlaczego aku-rat o połowę, a nie trzykrotnie? Bo ustawodawca w art. 200 par. 6 kk wpisał, że skazując sprawcę, który popełnił przestępstwo wobec małoletnie-go, „który w chwili czynu pozostawał w stosun-ku zależności od sprawcy, w szczególności pod jego pieczę”, sąd orzeka „karę pozbawienia wol-ności przewidzianą za przypisane sprawcy prze-stępstwo w wysokości od dolnej granicy ustawo-wego zagrożenia zwiększonego o połowę”.

**Gdy się to wszystko wie,
to trzeba by być idiotą,
żeby chcieć mieć dziecko,
czyli stać się podobywa-
telem. Kimś, kto z powo-
du bycia rodzicem na
każdym kroku może być
aresztowany i skazany
w efekcie działania nieja-
snych i rozciągliwych
przepisów.**

Takich, które kierując się wyimaginowanym dobrem dziecka, przeczą zdrowemu rozsądkowi i pozbawiają rodziców wolności przypisyanych ponoć każdemu człowiekowi i obywatelowi.

TOMASZ BOROWIECKI

R E K L A M A

PROF. JOLANTA ITRICH-DRABAREK
SŁUŻBA CYWILNA TO DZIŚ ATRAPA

**ZUS UKRYWA
SPADKI PO EMERYTACH**

**SAMI SWOI, CZYLI
NARODOWY INSTYTUT WOLNOŚCI**

PIŁEŚ? ZABIORĄ CI SAMOCHÓD

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Prof. Jolanta Itrich-Drabarek
SŁUŻBA CYWILNA TO DZIŚ ATRAPA

Prof. Grzegorz W. Kołodko
**NAKRĘCANIE
ATMOSFER
WOJNY**

Prof. Jolanta Itrich-Drabarek
SŁUŻBA CYWILNA TO DZIŚ ATRAPA

Prof. Jolanta Itrich-Drabarek
SŁUŻBA CYWILNA TO DZIŚ ATRAPA

Prof. Jolanta Itrich-Drabarek
SŁUŻBA CYWILNA TO DZIŚ ATRAPA

Kto jest homo, kto jest sapiens?

Głosa krytyczna do wyroku Sądu Okręgowego w Warszawie w sprawie Jarosława Kaczyńskiego przeciw Janowi Pińskiemu.

ścią jest autoerotyzm? Czy może jednak jest to wiedza, która powinna być publiczna? Uzasadniona jest wątpliwość, czy aby na pewno nieukontentowanie z samego siebie w przypadku osoby sprawującej władzę jest sprawą prywatną.

No i w końcu Kaczyński mógł mieć pretensje o to, że został pomówiony, jakoby prześladowa środowiska LGBT, a przecież być może on w swoim rozumieniu ich nie prześladował, tylko im sprzyja. Tutaj również wymagałoby wyjaśnienia przez sąd, czy nie jest tak, że Kaczyński oficjalnie prześladowa, a prywatnie sprzyja, i czy wyjaśnianie publiczne prywatnych zapatrywań jest lub nie jest naruszeniem dóbr osobistych.

Dzieci Jana Pawła

Nie znamy ani uzasadnienia pozwu, ani uzasadnienia wyroku, w którym sąd orzekł, że Piński naruszył prywatność Kaczyńskiego. Nakazał Pińskiemu przeprosiny, ale nie zobowiązał do zapłacenia 10 tys. zł na rzecz hospicjum im. Jana Pawła II w Ostrowcu, czego Kaczyński się domagał.

Nie możemy nie zauważyć, że aspekt tego hospicjum nie jest sprawą małej wagi. Kaczyński mógłby się domagać pieniędzy dla samego siebie albo na punkt adopcyjny schroniska Ochota na Kota mieszczonego się przy ul. Grójeckiej 79 w Warszawie. Wydaje się to bardziej uzasadnione. Jednak on zdecydował – a był to zapewne wybór głęboko przemysłany – że pieniądze wyrównujące jego szkodę mają iść na umierające dzieci w hospicjum



imienia Jana Pawła II, któremu niektóre środowiska zarzucają przemilczanie sprawy pedofilii w Kościele katolickim. Sprawcą bezpośrednim papieskiej niemoty jest arcybiskup Stanisław Dziwisz, który żył z Janem Pawłem przez 40 lat, a nawet zamiast niego (to w końcowym okresie, kiedy Wojtyła był ledwo żywy). Stanisław Dziwisz miał zatajać, więc papież nie wiedział.

Nie wiemy, czy sąd, zwalniając Pińskiego z tego świadczenia, uznał, że jest ono nienależne, czy może cel, na który mają iść pieniądze, jest w kontekście przedmiotu sprawy niesłuszny, niegodny lub nieadekwatny.

Chwała zwyciężonym

Piński uważa, że sprawę przegrał. To moim zdaniem niesłusznie. Przegrwanie przed sądami wynika z mylnego przeświadczenia, także w środowisku prawniczym, że proces sądowy jest grą, w której wygrywa ten, kto lepiej potrafi oszukać skład orzekający. Nie powinno być tak. Sąd powinien orzekać – na podstawie prawdy – o słuszności lub niesłuszności. Wszak obie strony mogą się mylić. Po to wymyśliłmy sądy, żeby po ustaleniu stanu faktycznego wydawały obiektywnie sprawiedliwe rozstrzygnięcia wyjaśniające obu stronom ich ewentualne błędy poznawcze.

Piński zapowiedział apelację, co do której – jak mu się wydaje – jest świetnie przygotowany, ponieważ ma świadków, których nie chciał się przesłuchiwać sądowi pierwszej instancji. Zamierza powołać:

– Jerzego Nasierowskiego – autora artykułu, który ukazał się w naszym tygodniku w 1993 r. pod tytułem „Mąż Kaczyńskiego”. Publikacja dotyczyła młodości obecnego prezesa PiS. Problem jest taki, że 91-letni obecnie Nasierowski nie pamięta już nic z tego, co wówczas pisał, a pisząc, opierał się wyłącznie na swojej pamięci. Nie bez znaczenia dla sądu też będzie, że

Jerzy Nasierowski, z zawodu aktor, okradł swojego czasu malarza Franka Starowieyskiego. Następnie skazany został za zabójstwo Anny Wujek na 25 lat więzienia, z których odsiedział dziewięć.

Wyszedł w rezultacie ułaskawienia; – Lecha Wałęsę, u którego w kancelarii prezydenckiej zatrudniony był rzecznym Kaczyński. Ten pierwszy o tym drugim uważał, że ma męża, czemu dał był wyraz publicznie. W kancelarii Wałęsowej zatrudniony był też ksiądz pedofil Henryk Cybula.

Zapewne nie raz prezydent Wałęsa widział, jak wita się w jego rozumieniu gej z pedofilem. Musiał mieć w tej sprawie jakiś pogląd, choć, jak twierdzi, o pedofilii Cybuli nie wiedział. Nie należy też zapominać, że przez pewien czas Wałęsa brał pieniądze od innego dostojnego pedofila, prałata Henryka Jankowskiego, w którym nie rozpoznał również miłośnika młodych chłopców. Ta koincydencja wiedzy i niewiedzy zapewne okazałaby się bardzo kłopotliwa, jeżeli Wałęsa miałby ją wyjaśnić sądowi. „Azaliż wiedziałem, że nie wiedziałem” – mógłby się tłumaczyć były prezydent;

– Piotra Polaszczaka odsiadującego karę 10 lat więzienia za zlecenie pobicia wiceszefa Komisji Nadzoru Finansowego Wojciecha Kwaśniaka. Polaszczak jest również głównym oskarżonym w aferze wołomińskiego SKOK-u. Zarzuca mu się ponad 900 przestępstw. Zagarnięcie przeszło 2 mld zł. To ostatnie to gruba przesada. Ów Polaszczak parał się swego czasu zawodowo szpiegostwem, w której to profesji prawdomówność nie jest sprawnością najważniejszą. To właśnie on miał być partnerem wiadomo kogo;

– Antoniego Macierewicza, wyjątkowego patałacha, który przez 10 lat badał zamach na samolot i nie udało mu się wskazać sprawcy. Jest to pierwszy zamach w historii świata, w którym liczba zamachowców wynosi zero. Macierewicz, zdaniem Pińskiego, miałby się przyznać sądowi, że wiedział o skłonnościach swojego szefa, a swoje wysokie stanowiska (m.in. ministra spraw wewnętrznych, obrony i obojętności) uzyskał w drodze wymuszenia, szantażując Kaczyńskiego, że jak go nie spiedestalizuje, to on, Macierewicz, wszystko wyda.

Piński zamierza powołać też innych świadków, np. polityków Roberta Bie-

dronia i Pawła Rabeja, zdeklarowanych homoseksualistów, którzy jego zdaniem mieliby zdradzić homoseksualność Kaczyńskiego wbrew oczywistym swoim interesom.

Szansa na sukces

Jan Piński nie jest idiotą. O ile oczywiście pozew Kaczyńskiego w zakończonej sprawie uznać by można za wypadek przy pracy, o tyle zapewne pan redaktor doskonale zdaje sobie sprawę, że z takimi zasobami ludzkimi i dowodami z zeznań świadków ma przed polskim sądem w apelacji szanse jak na złapanie cienia. Co więcej,

jako doświadczony dziennikarz, powziawszy wiedzę ze źródeł, z których ją powziął, a następnie rozpropagował, powinien sam mieć wątpliwości, czy uprawnia go ona do głoszenia tego, co głosił.

W dziennikarskiej robocie spotkałem się już ze świadkami naoczniymi pochówku nieślubnego dziecka Lecha Wałęsy, paradowania Hanny Gronkiewicz-Waltz bez stanika warszawskim Nowym Światem, pukania przez chrześcijańskiego dyrektora departamentu pewnego ministerstwa własnej siostry oraz spółkowania ambasadora jednego z muzułmańskich państw z kozą w uczelnianym zwierzyńcu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Proponowano mi nawet podpisanie stosownych dokumentów mogących być dowodami sądowymi i nie chciało za to pieniędzy. Chociaż wszystko byłoby zgodne z pragmatyką i sztuką zawodową, nigdy nie doszło do publikacji, albowiem słusznie uznano, że są to historie z dupy wzięte.

W dobrej wierze?

Zasadne wydaje się pytanie o rzeczywiste intencje redaktora Pińskiego, ponieważ jego enuncjacje o występowaniu w interesie publicznym i bezpieczeństwa państwa mogą wydawać się odrobinę wygórowane.

Niewątpliwie Piński ma rację, twierdząc, że pozew był „gigantycznym politycznym błędem” Kaczyńskiego. Ten gigantyzm to naturalnie trochę na wyrost. Rzeczywiście politycznie jest to strzał w stopę, jednakowoż traktowanie przez Pińskiego swojego procesu jako sprawy politycznej źle o nim świadczy. Niewykluczone, że Kaczyński pozwał go tak po prostu, po ludzku, bo poczuł się dotknięty nieprawdą. Traktowanie przewodu sądowego w oderwaniu od faktów, z pominięciem dążenia do prawdy i wyjaśnienia okoliczności to zwyczajnie nie po dziennikarsku.

Pełnomocnicy Kaczyńskiego napisali: „Wyrażenie fałszywej troski o to, czy najważniejszy polityk nie jest szantażowany, brzmi zupełnie niewiarygodnie wobec [negatywnego] nastawienia pozwanego względem powoda”. Mają rację. Troska Pińskiego zalatuje obłudą.

Nie można też nie zauważyć, że taki pozew ze strony swego czasu naczelnika państwa to jest dopust boży dla youtubera będącego gwiazdą średniej jasności.

Ze względu na szum medialny oraz przeliczalną na złotówki popularność w jego interesie jest, aby sprawa toczyła się bez względu na wynik. Redaktor Piński już na tym zarobił, uzyskując w drodze kwestury publicznej 56 tys. zł na pokrycie kosztów procesu. Z pieniędzy tych się nie rozliczył, bo nie musiał, choć mógł chcieć. Kolejne przedstawienie sądowe uzasadni następne dobroczynne datkobranie.

A w końcu może są jakieś inne powody – można spekulować, nie znając tych prawdziwych. Wprawdzie Piński ma córkę, więc przypuszczalnie na jakimś etapie życia posiadał żonę. Ale kto go tam wie?

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

WIARA CZYNI CZUBA

1. Matt Schaefer, republikański kongresman stanu Teksas, otworzył duszę przed youtube'owym programem „Jezus i polityka”. Matt ma dość oryginalną koncepcję obowiązków reprezentanta demokratycznego społeczeństwa: „Nadrzędnym przykazaniem dla każdego człowieka, każdego króla, każdego przedstawiciela stanu, każdego komisarza hrabstwa – nie ważne na jakim poziomie – jest oddawanie czci Bogu i kochanie Go”. Albowiem „cała władza pochodzi od Boga” i „są tylko dwie możliwości: posłuszeństwo lub bunt”. Matt objaśnił też, iż „jako chrześcijanie mamy biblijny nakaz wspomagania sierot w potrzebie”, toteż „jakże moglibyśmy opuścić sierotę w łonie matki”. Brzmiałoby to lepiej, gdyby Schaefer nie był współautorem ustawy zezwalającej na noszenie broni bez zezwolenia – co niewątpliwie przyczynia się do produkcji wielu sierot, także poza łonem.

2. Telewizja śniadaniowa prawackiego kanału Fox ma nowego sponsora, reklamowanego metodą lokowania produktu. To Jezus. A precyzyjnie: aplikacja do przypisywania Jezusa zwana Hallow, czyli „uświęcać”. Hallow pomaga „zbudować

nawyk modlitwy”, „zbliżyć się do Boga”, ale także „lepiej spać” – wszystko za głupie 10 dolców miesięcznie, choć jest też wersja darmowa. W ostatnią niedzielę Pete Hegseth – jeden z prowadzących program – wezwał widzów, aby „przygotowali swoje serca”, współprowadząca przeżegnała się pobożnie, po czym Pete ogłosił: „To piąta niedziela Wielkiego Postu, a nasza seria modlitewna jest kontynuowana dzięki czytaniu modlitwy z aplikacji Hallow”. Na dole ekranu pojawia się reklama: „Fox i przyjaciele, niedzielną serią modlitewną, sponsorowaną przez Hallow”.

3. I nie jest to jedyny program napisany na zamówienie Jezusa. Popularność zyskuje też aplikacja Pobłogosław Każdą Dom opracowaną przez Centrum Mapowania dla Ewangelizacji i Rozwoju Kościoła. Aplikacja pozwala na mapowanie całych dzielnic z opisaniem poszczególnych domów pod względem wyznania i pochodzenia etnicznego mieszkańców; można też zaznaczyć „latynoski kraj pochodzenia”, „stopień asymilacji”, liczbę i wiek dzieci. Na filmiku instruktażowym Kevin Greeson, lider teksańskiej sieci

misyjnej Globalne Wrota, naucza braci w Chrystusie, jak korzystać z aplikacji. Np. z funkcji udostępniania notatek, gdzie można wprowadzić informację dotyczącą każdego gospodarstwa domowego: „córcia wyjechała na studia” czy „matka jest w szpitalu”. Zapytany przez jednego z uczestników szkolenia, Greeson przyznaje, że „to potężne naruszenie prywatności”.

4. John MacArthur, pastor własnego megakościoła o nazwie Wspólnotowy Kościół Łaski w Kalifornii, ze średnią frekwencją 8200 osób tygodniowo, wypowiedział się na temat legendarnego przywódcy walki o prawa obywatelskie, pastora Martina Luthera Kinga: „Martin Luther King wcale nie był chrześcijaninem, a jego życie było niemoralne. Nie mówię, że nie zrobił czegoś dobrego dla społeczeństwa, i zawsze cieszyłem się, że był pacyfistą, bo inaczej mógłby rozpocząć prawdziwą rewolucję. Ale nie honoruje się niewierzącego, który fałszywie mówi o Chrystusie i Ewangeli”. MacArthur jest – nie zgadnienie – białym, starym (rocznik 1939) i bogaty. Jest także zwolennikiem teorii młodej Ziemi (Bóg stworzył Ziemię w sześć dni 6 tys. lat przed Chrystusem, a skamieliny to taka podpucha z jego strony, żeby sprawdzić, kto wierzy naprawdę) i przeciwnikiem teorii ewolucji.

Czy Unia Europejska pokusi się o wspólną politykę wschodnią?



Kuszenie

Partnerstwo Wschodnie miało też swych okresowych prymusów i opóźnionych w europeizacji. Nic dziwnego, bo do jednego worka wschodniej

Prymusi i ospali

Ukraińcy umierają dziś za NATO i Unię, choć Ukraina wcześniej nie była prymusem Partner-

Anty-Rosje

Partnerstwo Wschodnie zamarło po rosyjskiej aneksji Krymu, Doniecka i Ługańska, a skończyło się wraz z wojną na Ukrainie w 2022 r.

**Azerbejdżan, Białoruś,
Armenia nie chcą
większej integracji
z Unią Europejską.
Gruzja też nie pali się
do akcesji. Po
rosyjskiej agresji
Ukraina
i Mołdawia muszą się
integrować.**

PIOTR GADZINOWSKI

– Rosjanie doświadczyli różnych katastrof historycznych, niektórych całkiem niedawno. Możemy sięgać do zawojowania Rusi przez Mongołów, co było traumą na całe wieki, możemy wracać do wielkich wojen ojczyznianych – inwazji napoleońskiej i hitlerowskiej – ale nie w tym rzecz. Istotą sprawy jest to, że Rosjanie w XX wieku dwa razy stracili poczucie pewności państwowej. Pierwszą niespodziankę zrobili im bolszewicy pod wodzą Lenina, a drugą – inicjatorzy rozpadu ZSRR. To była utrata państwowości, a zatem integralności terytorialnej, ustrojowej i tożsamościowej, która decyduje o naszym być albo nie być. Dlatego Rosjanie nie chcą dzisiaj żadnej zmiany. Drugą rzeczą, na którą warto zwrócić uwagę, jest syndrom obłędnej twierdzy, który w Rosjanach wyzwołała wojna na Ukrainie i reakcja Zachodu. To doprowadziło do konsolidacji sceny politycznej i zjednoczenia się wokół silnego przywódcy.

★ Wacław Radziwiłowicz na łamach „Gazety Wyborczej”: „»Przedsięwzięcie elektoralne« Putina [...] ma potwierdzić mandat nietykanej, nieomyłnej osoby, która swoimi żywym słowem stanowi prawo, ogłasza wojnę i decyduje o pokoju. To osoba – jak określano carów i członków ro-

Putin pięciokrotny

– Czy wobec tego 87 proc. poparcia dla Putina powinno nas dziwić?

– Nie powinno. Było pewne, że zwłaszcza w czasach próby, trudnych ze względu na wyzwania geopolityczne, geostrategiczne i wprost wojenne następuje mobilizacja społeczna nawet wśród tych, którzy dotąd byli obojętni albo krytyczni wobec Putina. W sytuacjach takich jak dziś Rosjanie są zjednoczeni. Dokładny wynik procentowy nie ma większego znaczenia. Istotne jest to, że Rosjanie w tych wyborach, które były w zasadzie plebiscytem, wyrazili poparcie dla władzy, która nawet jeśli nie poprowadzi ich do zwycięstwa, to przynajmniej nie daje się ograć Zachodowi.

– A jaką rolę w poparciu dla przywódcy odgrywa propaganda?

– Propaganda i indoktrynacja oczywiście są obecne w Rosji, ale te rzeczy występują wszędzie. W USA w równym stopniu prowadzi się obróbkę mentalną obywateli, tyle że wpajane są im inne wartości.

– A dlaczego to akurat Putin ma w społeczeństwie rosyjskim taką legitymizację do sprawowania władzy?

– Max Weber wymieniał trzy rodzaje legitymizacji władzy: legalną, tradycyjną i charyzmatyczną. Zaczniemy od tego, że silną pozycję prezydentowi zagwarantowała konstytucja z 1993 r., okrojowana przez Borysa Jelcyna, a nie Władimira Putina. Putin jedynie zmieniał przepisy dotyczące liczby kadencji, aby dożyłotnio osadzić się na tronie, ale te przepisy zmieniał także zgodnie z konstytucją. Zatem wbrew wszystkim durnym komentarzom Putin ma legitymizację legalną do sprawowania władzy. Drugi rodzaj legitymizacji, który jest w Rosji szalenie ważny, to legitymizacja tradycyjna, związana z sakralnym charakterem władzy, jako pomostem między obywatelami a światem duchowym. Ta legitymizacja tradycyjna wiąże się też z legitymizacją charyzmatyczną, bo w oczach Rosjan Putin po prostu jest charyzmatycznym przywódcą. Dlatego mimo że Putin rządzi już 24 lata, to

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

w Rosji o tak ogromnej przestrzeni, zróżnicowanych interesach, targanej wewnętrznymi kłopotami i penetrowanej przez obcych ta silna władza kojarzona ze sferą sacrum ma sens.

– A jaki jest stosunek Rosjan do demokracji liberalnej, takiej jak na Zachodzie?

– W ciągu 30 lat od przyjęcia przez Rosję formuły nieideologicznego państwa nigdy nie było tam liberalnej demokracji. Gdy Jelcyn próbował Rosję demokratyzować na wzór zachodni, kpiono, że jest to дермократия, czyli – tłumacząc na polski – „gównokracja”.

– Jednak w tym rosyjskim systemie zawsze istniało co najmniej kilka partii o całkiem wysokim poparciu: komuniści, nacjonaści

Żyrinowskiego, liberałowie. W tych wyborach wszyscy zostali zmarginalizowani – kandydat komunistów w 2018 r. zdobył 11,9 proc. głosów, w tym roku – 4,3 proc.; kandydat LDPR, czyli nacjonalistów, w 2018 r. uzyskał 5,7 proc., a teraz – 3,2 proc. Z czego wynikają te zmiany?

– Już wcześniej mówiłem, że Rosjanie mobilizują się wokół silnego przywódcy. Wielu ludzi o poglądach komunistycznych, co w Rosji oznacza tęsknotę za silnym państwem radzieckim, dziś zdecydowało się poprzeć Putina, aby nie osłabiać państwa.

– Faktyczne poparcie dla Putina w Rosji jest wysokie, jednak wyniki wyborów w niektórych republikach, np. Czeczenii – 96 proc. frekwencji, 99 proc. poparcia dla Putina – mogą budzić wątpliwości.

– Z wyniku w Czeczenii można zakpić, że jest to rezultat ogromnej dyscypliny społecznej i patriotycznych uniesień, a także wdzięczności wobec wodza na Kremlu... Ale mówiąc poważnie, to jest po prostu efekt działalności lokalnych watazków, manipulacji i wpływu sił specjalnych. Nie zapominajmy, że takie republiki jak Czeczenia podlegają militaryzacji i ograniczeniom różnych praw ze względu na terrorystyczną przeszłość. W Rosji dobrem najwyższym nie jest dobro obywatela, poszczególnych podmiotów federacji ani interes lokalny, lecz tożsamość państwowa i dobro wspólne. Z tego wynika przyzwolenie na radykalne ograniczanie swobód obywatelskich przez Ramzana Kadyrowa.

– A czy w najbliższej przyszłości pojawi się jakaś alternatywa dla Putina?

– Nie. Coś, co określamy mianem „kolektywnego Putina”, czyli prezydent wraz ze swoim otoczeniem, spacyfikowało w istocie scenę polityczną. W tej elicie władzy są siłowniki, służby specjalne, armia, której wpływy rosną. Te środowiska będą mieć wpływ na wybór następcy Putina, który dla Europy może być znacznie gorszy od obecnego władcy Kremla.

– Dlaczego mógłby być gorszy?

– Ponieważ Putin balansuje pomiędzy różnymi kręgami, również biznesowymi, oligarchicznymi. Z tego powodu zarzuca mu się stworzenie mechanizmów korupcyjnych. Jednak Putin dzięki takim metodom w istocie utrzymuje stabilność systemową. Korupcja jest też środkiem rządzenia, a oligarchia jest elementem demokracji burżuazyjnej. Spójrzmy na ustroje, do których porównuje się Polska – są to ustroje bardzo skorumpowane, oparte na tajemniczych siłach. Nie bez powodu anglosaski termin *deep state* jest tak popularny. My nawet nie wiemy, kto rządzi naszą kochaną Ameryką – formalnie u władzy jest ten straszny dziadunio, a następny dziad – Donald Trump – już szykuje się do objęcia urzędu, natomiast to nie oni są rzeczywistymi władcami.

– Państwa zachodnie wspierają różne inicjatywy wymierzone w rosyjski system polityczny. Najnowszym przykładem jest akcja „3П – Полдень Против Путина” (pol. 3P – Południe przeciw Putinowi), czyli zbiorowego głosowania w niedzielę o 12:00. Co Rosjanie sądzą o tych przedsięwzięciach?

– 3P to spektakularna, podkreślana z zewnątrz akcja. Opozycjoniści organizujący takie akcje, których twarzą jest dzisiaj Julia Nawalna, są poza Rosją. Proszę zwrócić uwagę, że to nie mieszkający w Rosji zwolennicy Nawalnego są siłą zorganizowaną, tylko różni Chodorkowscy, którzy z miliardami wyjechali za granicę i mogą organizować akcje przeciw Rosji. Jednak ta anty-Rosja nie ma szans na żadne zwycięstwo dlatego, że syndrom zdrady jest jednym z najważniejszych w rosyjskiej świadomości i mentalności. Rosjanie uważają, że Imperium Rosyjskie rozwalila własna inteligencja, która w XIX wieku ulegała obcym wpływom i demontowała państwo. Myślę więc, że w Rosji niejedyn obywatel wybierze z dwojga złego lojalność wobec państwa rosyjskiego i Putina, a nie poparcie dla tzw. zdrajców.

– A jak ocenić akty terrorystyczne, np. wrzucanie koktajli Mołotowa do lokali wyborczych albo niszczenie urn? To też było wspierane z Zachodu?

– To jest folklor! Te incydenty nie mają wpływu na funkcjonowanie systemu politycznego, ale po obróbce medialnej służą Zachodowi. Wykorzystanie do tych akcji kobiet, głównie starszych, ma w zachodnich

odbiorcach wzbudzać litość. Te kobiety z jednej strony same mówią, że mają tyle lat, iż nie mają już nic do stracenia. Z drugiej wsparcie finansowe z Zachodu na pewno jest dla nich wymierną pomocą, bo przecież nie wszystkim w Rosji powodzi się tak jak w Moskwie.

– Państwa zachodnie wtrącają się w wewnętrzne sprawy Rosji również oficjalnie. Jak pan ocenia oświadczenie polskiego MSZ opublikowane po wyborach w Rosji?

– Uważam, że to jest ingerencja w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa i mocarstwa sąsiedzkiego. Po prostu nie uchodzi tak się zachowywać. Zresztą Polska w ciągu ostatnich ośmiu lat sama utraciła wiarygodność demokratyczną, a dzisiejszy minister spraw zagranicznych jest za to współodpowiedzialny, gdyż sam był niegdyś w obozie PiS. Nie dość, że reakcja MSZ jest niegodna, to Polska w roli pouczającego jest niewiarygodna.

– Niektóre państwa posunęły się jednak jeszcze dalej niż Polska – minister sprawiedliwości Łotwy powiedział publicznie, że biorący udział w wyborach w rosyjskiej ambasadzie w Rydze zostaną wydalen z kraju za wspieranie wojny na Ukrainie. Później się z tych słów wycofała. Gdzie jest granica wtrącania się w wewnętrzne sprawy Rosji?

– Dzisiaj w świecie zachodnim panuje dezynwoltura, czyli faktyczny brak reguł. Nie przestrzega się ani prawa wewnętrznego państw, ani reguł prawa międzynarodowego. Tragedią dzisiejszych czasów jest to, że zagonęcy, czyli państwa małe i niesamodzielne, są na usługach wielkich mocarstw zachodnich. Te państwa stają się gorliwymi pieskami ujadającymi, jak powiedział papież, pod drzwiami Rosji. Otóż republiki bałtyckie, bo o nich mowa, śmiało można nazwać szalonymi uczestnikami nowej zimnej wojny – to są prowodyrzy, prowokatorzy i nawet jak minister się wycofała, to smród przecież pozostał. Takie zachowanie świadczy o braku odpowiedzialności i przede wszystkim braku kompetencji. My – narody europejskie – jesteśmy dzisiaj narażani przez nieodpowiedzialnych polityków na odwet, zwyciężajny odwet, zbiorowy i okrutny.

Rozmawiał
MAREK SANOWSKI

Prof. Stanisław Bieleń – wybitny znawca Rosji, od kilku dekad związany z Uniwersytetem Warszawskim. Autor wielu publikacji naukowych, m.in. „Tożsamość międzynarodowa Federacji Rosyjskiej”, „Rosja w okresie prezydentury Władimira Putina”, „Pamięć i polityka historyczna w stosunkach polsko-rosyjskich”.

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

dziny panującej – »agustiejsza«, czyli bliska bogom. [...] Aktualny pan na Kremlu, ze swoimi nieograniczonymi kompetencjami czy limitem czasu pozostawania u władzy, a także prawem wyznaczenia ewentualnego następcy, stał się de facto samodzielnym monarchą. Potwierdza to m.in. wcale nie skrycie, tylko ostantacyjnie mordując tych, co podnoszą rękę na majestat jego władzy. Nie minęło jeszcze siedem miesięcy od egzekucji Jewgienija Prigożyna i właśnie mija miesiąc od śmierci Aleksieja Nawalnego”. Tak oto, dzięki niechęci red. Radziwinowicza do Władimira Putina, Jewgienij Prigożyn stanął obok opiewanego przez redaktorów z Czerskiej Aleksieja Nawalnego.

Grzegorz Kuczyński w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie”: „Przypomina mi to sytuację z Hitlerem i NSDAP, gdzie też z kolejnymi wyborami te wyniki były coraz bardziej przytłaczające. Skończyło się oczywiście wojną”. Szkoda, że „GPC” nie

publikowała takich trafnych analogii, gdy PiS osiągnął w 2019 r. najbardziej przytłaczające zwycięstwo w historii III RP.

Irena Lasota w „Plusie Minusie”: „Chodorkowski wezwał do przeciwstawienia się wyborowi Putina na prezydenta Rosji. A jak to zrobić? Bardzo prosto – iść do urn wyborczych, najlepiej w samo południe, jeśli ktoś może, i poprzeć swoją obecność zamanifestować sprzeciw wobec polityki prezydenta. Nie żartuję. Gdy przeczytałam to po raz pierwszy, myślałam, że jest to chamska i brutalna propaganda samego Putina. Ale okazało się, że nie tylko nie jest to ponury dowcip, ale pomysł poparła wdowa po Aleksieju Nawalnym, Julia, zwana już pierwszą lady rosyjskiej opozycji, też mieszkająca na emigracji. Poradziła ona dodatkowo, by miejscowi, to znaczy rosyjscy dysydenci, wchodzili do kabin i albo dopisywali nazwisko jej męża, albo głosowali na jednego z kandydatów, byle nie na Putina. Podejrzewam, że efekt będzie

podobny do tego, jaki osiągnął mój brat w wyborach do sejmu w 1965 r., wpisując na listę generała Władysława Andersa”. Wyjątkowo trzeźwa ocena rzeczywistości, co u Lasoty nieczęsto się zdarza.

Publicystka „Krytyki Politycznej” Paulina Siegień: „Kremlowi zależało na dużej frekwencji, by uprawomocnić wyborczy spektakl. Opozycja zgodziła się statystować w tej produkcji. Dlatego trudno odmówić racji Ukraińcom, którzy z zażenowaniem przyglądają się tym wysiłkom, podczas gdy na terenach okupowanych przez Rosję lotne komisje wyborcze zbierały głosy na Putina w towarzystwie uzbrojonych i zamaskowanych żołnierzy. Zdaniem ukraińskich publicystów prawdziwa rosyjska opozycja to nie ta, która postanowiła w niedzielę 17 marca przyjść na chwilę do lokali wyborczych i tam postać, a ta, która walczy w ochotniczych formacjach po stronie ukraińskiej armii i swoimi rajdami, zintensyfikowanymi w ostatnich dniach, nęka przygraniczne rosyjskie miejscowości”. Najwyraźniej według pani Pauliny zadaniem opozycji jest nękanie cywilnych mieszkańców własnego państwa.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com



Waszyngton jest mistrzem świata w udawaniu, że kocha demokrację.

Czeska komedia po węgiersku

„Jest taki człowiek, nazywa się Viktor Orbán. Czy ktoś o nim słyszał? To jeden z najmocniejszych przywódców na świecie. To przywódca Turcji” – powiedział kilka miesięcy temu Donald Trump. Premiera Węgier to nie ruszyło. Następnego dnia, zamiast się odszczeknąć, oświadczył z płomiennym uśmiechem: „My, Węgrzy, powinniśmy uczciwie przyznać, że dla świata i dla Węgier byłoby lepiej, gdyby wrócił Donald Trump”. Kilka miesięcy później Orbán wsiadł do samolotu i śmignął nie tyle do USA, ile na Florydę. Do rezydencji o dźwięcznej nazwie Mar-a-Lago.

Na nie najwyższym szczeblu

Premier Węgier został przyjęty przez Trumpa z honorami. Przed rezydencją ustawiono flagi obu państw. Trump osobiście oprowadzał premiera Węgier i pokazał mu między innymi kolekcję piłeczek golfowych. Po spotkaniu gospodarz wyrzucił z siebie: „Nie ma nikogo, kto byłby mądrzejszym, lepszym przywódcą niż Viktor Orbán. Jest fantastyczny. Poznajcie premiera Węgier. Wcale nie jest kontrowersyjną osobą”. Po tak owocnym spotkaniu Orbán odleciał do siebie, gdzie okrzyknięto go bohaterem wielkiego międzynarodowego sukcesu.

Gdyby ktoś nie zauważył, to Trump nie jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Gość piastujący to stanowisko nazywa się Joe Biden i urzęduje nie w Mar-a-Lago, ale w Białym Domu. Z Bidenem Orbán nie zamierzał się spotkać. Biden z Orbánem – tym bardziej. Co nie znaczy, że wizyty u swojego kontrkandydata w wyborach prezydenckich nie zauważył. „Wiedzie, z kim się spotkał w Mar-a-Lago? Z Orbánem z Węgier, który wprost mówi, że jego zdaniem demokracja nie działa. Orbán to jedyny lider w NATO, który chce dyktatury. Właśnie z nim spotyka się Trump. Moim celem jest obrona demokracji, a nie jej umniejszanie” – skomentował sprawę Joe Biden.

To dla Orbána i tak wiele. Węgry dla przeciętnego Amerykanina nie istnieją. Małeńki jak na amerykańskie standardy kraik z niewielką populacją, leżący na dodatek gdzieś na końcu świata. Może gdyby Amerykanie wiedzieli, że z kraikiem tym Stany Zjednoczone toczą od kilku lat wojnę, to ktoś z Atlantykiem by się Orbánem zainteresował.

Ostrzał dyplomatyczny

Gdy Biden wygrał wybory, Orbán – podobnie jak Andrzej Duda – pogratulował mu nie zwycięstwa, ale udanej kampanii. Gdy jednak prezydent został zaprzysiężony, z Budapesztu dostał gratulacje z okazji inauguracji prezydentury. Ludzie Bidena Orbánowi tego nie zapomnieli. Po wycofaniu w październiku trumpowskiego jeszcze ambasadora na Węgrzech Departament Stanu przez niemal dwa lata utrzymywał na tym stanowisku wakant.

Biały Dom liczył, że obniżenie rangi relacji da Orbánowi do myślenia. Miał rację.

Orbán szybko doszedł do wniosku, że poprawne relacje z amerykańską administracją do niczego mu nie są potrzebne. Kasował u siebie resztkę wolności mediów,

wprowadzał sankcje przeciwko nienormatywnym płciowo i seksualnie obywatelom i wchodził w coraz większą zażyłość z Erdoganem, Putinem i Xi Jinpingiem.

Departament Stanu uznał, że przegrał, i jął szukać dobrego kandydata na ambasadora USA w Budapeszcie. Ktoś w Waszyngtonie wpadł na pomysł zrobienia kuku homofobicznym władzom Węgier i stąd wzięła się kandydatura Davida Pressmana. Facet był ekspertem w dziedzinie praw człowieka i bezpieczeństwa narodowego, a w przeszłości pracował jako zastępca ambasadora USA przy ONZ. Ale nie o kwalifikacje tu chodziło. Pressman był zdecydowanym zwolennikiem i promotorem „ideologii gender” i agendy LGBT, znanym z wyzywania do uznania ich poza Stanami Zjednoczonymi. Był też zdeklarowanym gejem żyjącym w formalnym związku jednopłciowym. Ludzie Bidena sądzili, że sam fakt, że Pressman przyjedzie do Budapesztu z mężem, z którym wychowuje dwoje dzieci, będzie dla Orbána mocnym policzkiem. Szczególnie w kontekście ostrej amerykańskiej krytyki węgierskiej polityki względem rodziny i blokowania agendy gender.

Gdy Pressman dotarł do Budapesztu, Orbán nazwał go człowiekiem, który „przybył, aby wyrzucić na nas presję”, ta gra słów była w pełni zamierzona. Pressman nie pozostał dłużny. Ledwo w listopadzie 2022 r. zdążył rozgościć się w rezydencji ambasadora, a już dał wywiad dla „Politico”, gdzie skomentował wyjazd szefa MSZ Węgier Pétera Sijjártó do Soczi: „Jestem zaniepokojony, gdy widzę rakiety latające z Moskwy na place zabaw w Kijowie, a widzę ministra spraw zagranicznych Węgier, lecącego do Moskwy na konferencję z szefostwem Gazpromu”.

„Ja też nie komentuję podróży amerykańskiego sekretarza stanu i z pewnością oczekiwałbym, żeby amerykański ambasador powstrzymał się od komentowania węgierskich spraw politycznych” – odgryzł się minister Sijjártó. Węgierskiemu dyplomacie przyszło z tego tyle, że Biden nie zaprosił Węgier na Szczyt Demokracji, w którym uczestniczyło 121 państw.

W lutym 2023 r. Pressman napisał w „Politico”: „Liderzy węgierskiego rządu często mówią o promowaniu pokoju, ale nadal forsują politykę popieraną przez Putina, od potępienia sankcji do przyjęcia rosyjskich propozycji zawieszenia broni”. Potem dokopał Orbánowi na Twitterze: „Nie uważamy próby jednostronnych zmian granic Europy przez Rosję

za rozwój wewnętrznych stosunków politycznych na Węgrzech”.

„To, co myśli ambasador USA czy jakkolwiek inny ambasador o wewnętrznych stosunkach panujących na Węgrzech, jest nieistotne, bo to nie jego sprawa” – odparował Sijjártó. Po czym dorzucił: „Przyjmujemy nie gubernatorów czy sędziów, którzy są przysyłani tu, aby mówić nam, jak postępować we własnym kraju. Ta epoka już się skończyła”.

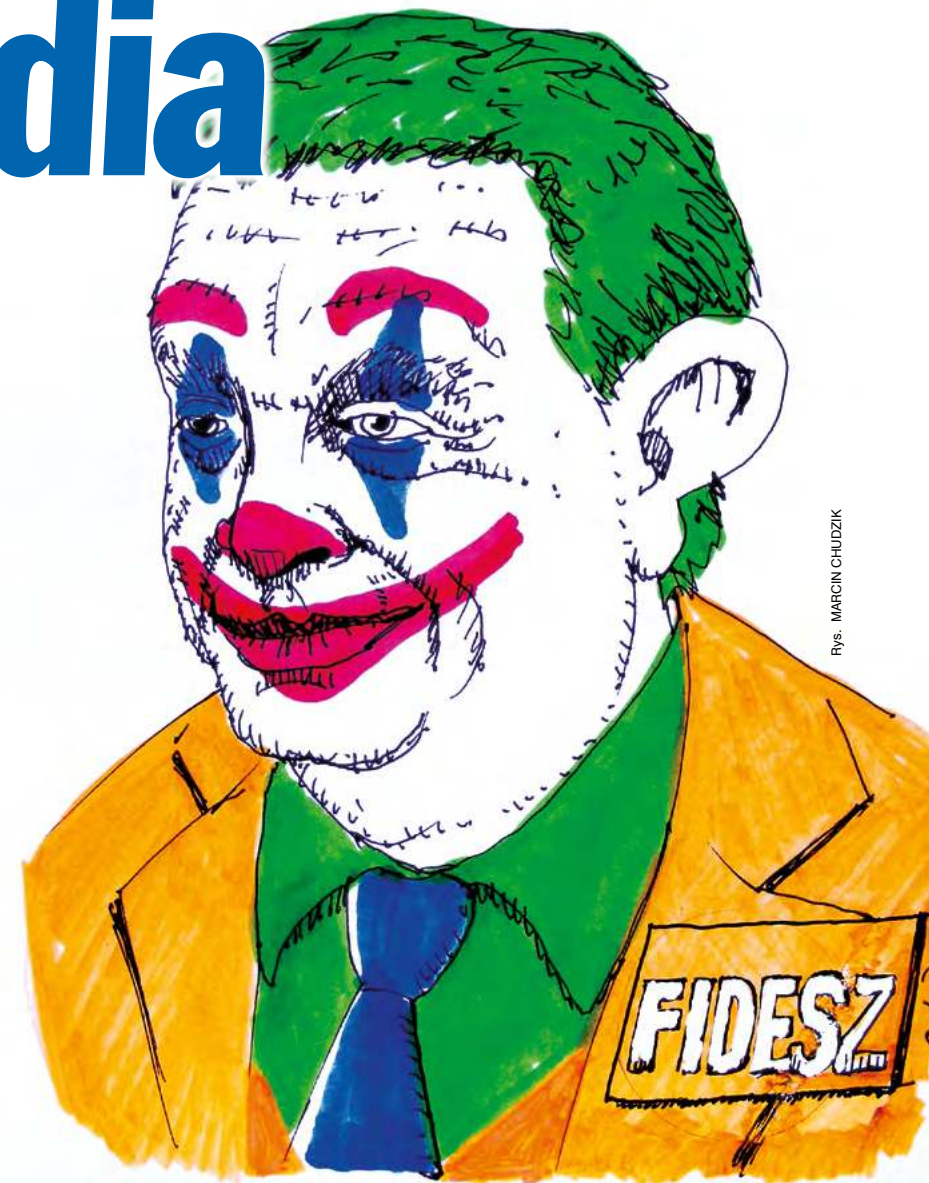
Na to wkurzył się Waszyngton. Podczas konferencji prasowej rzecznik Departamentu Stanu USA Ned Price pojechał po Węgrzech równo: „Oczywiście, zawsze mamy problem, kiedy widzimy coś, co wydaje nam się zorganizowanym wysiłkiem wysokich rangą oficjeli w węgierskim rządzie i niektórych elementach kontrolowanej przez rząd prasy, by zdyskredytować naszego ambasadora i w niektórych przypadkach zdyskredytować Stany Zjednoczone”.

Ambasador Pressman też nie próżnował. W wywiadzie dla „New York Timesa” wyznał, że jest przedmiotem ataków ze strony prorządowych mediów na Węgrzech ze względu na swoją homoseksualną orientację i poparcie dla praw LGBT. Dodał, że rządowe media regularnie atakują Stany Zjednoczone i powtarzają tezy rosyjskiej propagandy, a węgierskie służby wywiadowcze promują teorie insynuujące spisek osób powiązanych z USA w celu obalenia rządów Viktora Orbána.

Nalot plakatowy

Węgrzy atak odparowali wstrzymaniem prac nad zgodą na wejście Finlandii i Szwecji do NATO. W związku z czym na początku kwietnia zeszłego roku na Węgrzech pojawiły się finansowane przez ambasadę USA plakaty i billboardy wyzywające do wycofania wojsk rosyjskich z Ukrainy. Wydrukowane na nich hasło „Ruskie do domu” nawiązywało do węgierskiego antyradzieckiego powstania z 1956 r. „Chcę jasno powiedzieć, że nie ma takiej ilości plakatów, konferencji prasowych oraz dolarów przekazanych opozycji, która odwołaby węgierski rząd od jego pokojowego stanowiska. Wszelkie próby czynione w tym kierunku są daremne” – odpowiedział na to Sijjártó. I podjął kontratak.

W Budapeszcie odbyła się konferencja Amerykańskiej Koalicji Konserwatywnej Akcji Politycznej. Na spędzie



Rys. MARCIN CHUDZIK

jankeskiej konserwy Orbán wezwał do powrotu do władzy Donalda Trumpa.

Zabolało. Oprócz utarek słownych i symbolicznych USA przeszły do konkretnych. Nałożyły sankcje na rosyjski Międzynarodowy Bank Inwestycyjny z siedzibą w Budapeszcie. Instytucję powszechnie nazywaną rosyjskim bankiem szpiegowskim, ponieważ zachodni eksperci do spraw bezpieczeństwa mieli wiele dowodów, że działał on jako sieć logistyczna dla rosyjskiego wywiadu. Bank osiadł w Budapeszcie w 2019 r., a większość środkowoeuropejskich państw członkowskich UE przyłączyła się do jego operacji, ale kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, wszyscy odeszli, z wyjątkiem Węgier. O dziwo, groźba sankcji zmusiła Węgry do wycofania udziałów z tej instytucji i wygonienia jej do Rosji.

W sierpniu Amerykanie zaatakowali – jak sądzili – czuły punkt. Waszyngton nałożył ograniczenia dotyczące węgierskich paszportów w ramach programu bezwizowego. W ich konsekwencji zezwolenie na podróż za Atlantyk jest ważne dla Węgrów przez rok, a nie przez dwa lata. A na dodatek trzeba o nie każdorazowo występować. Szeregowi Węgrzy nawet tego nie zauważyli.

Pressman się skonfundował i z problemami dotyczącymi Węgier udał się do tychczas dwukrotnie do Brukseli, a także na konsultacje do Waszyngtonu. Spotkał się z sekretarzem stanu Antonym Blinkenem. Na entuzjazm węgierskich decydentów na sukcesy sondażowe Trumpa David Pressman zareagował, polecając nieangażowanie się w wybory w innym państwie, skoro Węgrzy nie chcą takich działań nad Dunajem.

Skoro USA przeszły do obrony, to Orbán postanowił przeprowadzić kontratak. Za 250 tys. dolarów kupił przychylności ikony trumpowskiej Ameryki Tuckera Carlsona. Ten zaś w trakcie swojego programu stwierdził, że administracja Bidena wydaje pieniądze amerykańskich podatników na nękanie Węgier. Ba, przeprosił za amerykańskiego ambasadora, określając jego zachowanie „obrzydliwym i niewybaczalnym”. Stwierdził także, że ambasador „niczego nie wie o Węgrzech, bowiem nie zna węgierskiego – odejź!”.

Sielanka biznesowa

Wizyta Orbána u Trumpa na Florydzie została odebrana jako najmocniejszy atak na bidenowski Wa-

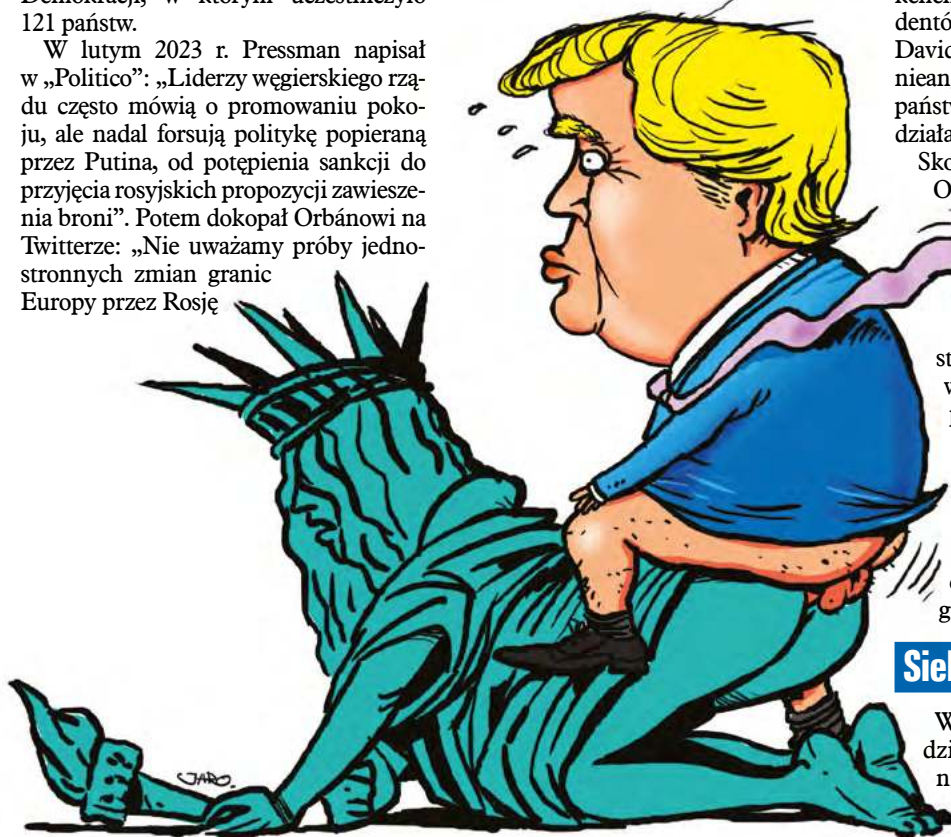
szyngton. Trochę bez sensu, bo miłość Orbána do Trumpa jest – najdelikatniej mówiąc – nieodwzajemniona. Fakt, że Trump przyjął Orbána w Białym Domu w 2019 r., świadczy tylko o tym, że go przyjął. Dla premiera Węgier było to wydarzenie historyczne, bo poprzednio był u Clintona 20 lat wcześniej. I nic poza tym. Poza wizytą i rozmowami telefonicznymi Trump Węgrom niczego nie dał. Jedyną wymierną korzyścią dla Orbána było to, że kiedy ustępujący ze stanowiska Barack Obama przyznał wsparcie niezależnym węgierskim mediom w wysokości kilkuset tysięcy dolarów, to Trump ten fundusz zlikwidował. Zeby tam, na początku 2018 r. opublikowano raport komisji ds. relacji zagranicznych Senatu USA nt. rosyjskich wpływów w Europie. Premier Węgier został w nim zdefiniowany jako największy sojusznik Moskwy w NATO i UE.

Najzabawniejsze jest jednak to, że niechęć Bidena czy jawna wrogość Pressmana do Orbána nie mają przełożenia na kasę. Amerykański biznes na Węgrzech miewa się wszak nad wyraz dobrze. USA pozostają drugim po Niemczech największym inwestorem na Węgrzech. Ponad 1,7 tys. amerykańskich firm zatrudnia około 107 tys. pracowników. W ostatnich kilku latach rząd Węgier wsparł 103 amerykańskie inwestycje kwotą 2 mld dolarów. W 2022 r. obroty handlowe między państwami osiągnęły rekordową wartość, wzrastając o 16 proc.

Amerykańscy biznesmeni działający za granicą bardzo słuchają się swojego rządu. I gdyby administracja naprawdę chciała Węgry ukarać, to już dawno inwestorzy z Budapesztu by uciekli. Skoro tego nie zrobili, to

wszystkie opisywane wcześniej aspekty wojny węgiersko-amerykańskiej to jakaś ściema na potrzeby wyborców Partii Demokratycznej w USA i Fideszu na Węgrzech. Bo autorytaryzm Orbána Biden ma tam, gdzie reszta Amerykanów.

TADEUSZ JASIŃSKI



To już pewnie: w przyszłym sezonie europejskie rozgrywki pucharowe odbędą się według nowych zasad. Oczywiście pozostaną trzy rangi kontynentalnych zmagkań. Zwiększy się liczba uczestniczących w nich drużyn oraz sposób rywalizacji na poszczególnych etapach.

Podział uczestników na grupy zastąpi tzw. system szwajcarski. Każda z drużyn zmierzy się z ośmioma przeciwnikami. Cztery spotkania zagra na własnym boisku i cztery – na wyjeździe. Do 1/8 finału awansuje bezpośrednio osiem najlepszych drużyn, a zespoły z miejsc 9–24 rozegrają baraże.

Ser szwajcarski

Skąd wziął się system szwajcarski? Najbardziej znany jest z szachów, e-sportu i... gier planszowych. Kojarzenie par nie należy do prostych zagadnień, bo trzeba mieć na uwadze, aby rywale nie spotkali się dwukrotnie. Myślę, że minie trochę czasu, zanim przyzwyczaimy się do tego szachowego systemu w piłce. Może się też zdarzyć, że zanim go zrozumiemy, UEFA wymyśli coś nowego.

Po co UEFA wszczyna te wszystkie rewolucje? To oczywiste, chodzi o kasę. Im więcej meczów, tym więcej pieniędzy do zarobienia.

Teraz obciążenie meczami czołowych drużyn będzie jeszcze większe, a pucharowe spotkania będą się odbywać nie tylko w środku tygodnia, jak dotychczas, ale także w weekendy. To zaburzy rozgrywki ligowe w wielu krajach. Weźmy dla przykładu Anglię. Tam w sezonie kluby rozgrywają 38 ligowych meczów, do tego uczestniczą w Pucharze Anglii i Pucharze Ligi. Gdzie tu jeszcze upchnąć europejskie puchary?

Od jakiegoś czasu niektóre krajowe federacje w poszukiwaniu większych zysków eksportują swoje rozgrywki pucharowe za granicę, głównie do bogatych krajów arabskich. UEFA nie chce być gorsza. W nowym regulaminie Ligi Mistrzów zastrzegła, że nie tylko mecze finałowe, ale także spotkania półfinałowe mogą być organizowane poza Europą. Z punktu widzenia przeciętnego polskiego kibica, który nie ma szansy na oglądanie swojej ukochanej, ale słabiutkiej drużyny w finałach, to żadna strata. Obejrzymy mecze w telewizji. Gdybyśmy jednak mieszkali w Madrycie, Londynie, Monachium, Mediolanie lub innym mieście, w którym gra piłkarski gigant, być może chcielibyśmy pokibicować swoim z trybun. Już wydadek na bilet mocno obciąża budżet domowy. A co dopiero, jeśli kibice będą musieli latać na inny kontynent?

Niewykluczone, że właściciele najlepszych klubów znów zbuntują się przeciw UEFA i odrzucią się idea Superligi – rozgrywek organizowanych poza strukturą europejskiej federacji. Raz udało się ją zdusić w zarodku, ale myśl o uwolnieniu się spod uciążliwej kurateli UEFA całkiem nie umarła.

Zmiany, zmiany, zmiany

Pandemia COVID-19 zmieniła sporo w przepisach gry w piłkę nożną. Wcześniej podczas meczu zmienić można było trzech graczy. W związku z kwarantanną i brakiem możliwości trenowania w klubach zwiększono tę liczbę do pięciu, czyli wymienić można było połowę zawodników w polu. Pandemia minęła, przepis pozostał.

Czy to jest dobra zmiana? Moim zdaniem nie bardzo. Nie proponuję wracania do dawnych czasów, których nie pamiętam, ale czytałem o nich w książkach, gdy nikogo nie można było zmienić i kontuzjowani zawodnicy musieli pozostawać na murawie do końca spotkania. Jeśli urazu doznał bramkarz, oddawał sweter koledze z pola, a sam dreptał gdzieś w narożniku boiska. Prawo wymienienia połowy drużyny za bardzo preferuje jednak moim zdaniem bogatych. Kluby, które stać na kupieniu lub wychowanie, a następnie utrzymywanie gwiazd, mają już na starcie dużą przewagę nad mniej zamożnymi. Wiadomo, że sport stał się widowiskiem komercyjnym, ale jakaś zasada równości – przynajmniej teoretycznie – powinna być zachowana.

Catenaccio za punkt

Nie wszystkie piłkarskie rewolucje są złe. Dziś wydaje się nam normalne, że w piłce nożnej za zwycięstwo otrzymuje się 3 pkt., a za remis 1 pkt. Wcześniej wszystko wydawało się logiczne. Na boisku leżały 2 pkt. do zdobycia. Jeśli padł remis,

Futbolowe rewolucje

Mniej więcej co trzy lata w regułach piłki nożnej dochodzi do istotnych zmian. Przed nami kolejne.

dzielono je między zespoły. Pamiętam, że podczas nocnych dyżurów w redakcjach sportowych była to bardzo wygodna formuła. Wystarczyło podsumować wszystkie rzędy tabeli i suma musiała się zgadzać. Teraz tak łatwo już nie jest.

Punktową rewolucję przeżył futbol wcale nie tak dawno, bo ok. 25 lat temu. Trudno podać dokładną datę, ponieważ różne krajowe federacje wprowadzały nowe przepisy w różnym czasie. W Polsce zaczęły obowiązywać od 1995 r.

Ta – wydawałoby się – niewielka zmiana bardzo uatrakcyjniła rozgrywki. Wcześniej drużyny przede wszystkim starały się nie przegrać meczu, broniły swojej bramki większością piłkarzy. Najczęstszym efektem takiej taktyki był remis, często bezbramkowy. Futbol zaczynał być nudny.

Opracowano taktykę zwaną catenaccio, co po włosku oznacza „rygiel”. Za jej twórcę uznaje się słynnego argentyńskiego trenera Helenia Herrere. Napisałem argentyńskiego, choć raczej wypadłoby by napisać francuskiego, bo już jako dziecko przeniósł się z rodzicami do Maroka i tam przyjął francuskie obywatelstwo. Grał głównie we francuskich klubach, tam też rozpoczął karierę trenerską.

Trenerem był Helenio Herrera wybitnym. Wpłynął na rozwój futbolu na całym kontynencie, głównie jednak we Włoszech. Prowadzony przez niego Inter Mediolan w latach 60. minionego wieku trzykrotnie zdobywał mistrzostwo Italii, dwukrotnie Puchar Europy (poprzednik Ligi Mistrzów) i dwukrotnie Puchar Interkontynentalny (dzisiejsze klubowe mistrzostwo świata).

Sukcesy przyniosły mu sławę, ale i niechlubne określenie grabarza futbolu. Catenaccio trener Herrera dopracował do perfekcji. Jego dewiza, którą wpajał zawodnikom, brzmiała: „Jeśli nie stracimy bramki, nie przegramy meczu”. Nie zamierzam tu pisać podręcznika dla piłkarskich trenerów. Krótko mówiąc, oczkiem w głowie szkoleniowca było ustawienie obrony. Za linią defensywy, składającą się zazwyczaj z czterech zawodników, pojawiał się stoper, pełniący funkcję ostatniej przed bramkarzem instancji obrony. Do ataku Herrera przykładął mniejszą wagę, zresztą, jeśli można tak powiedzieć, brakowało mu do niego jednego piłkarza.

Orzeł czy reszka?

Drużyna Herrery albo remisowała, albo wygrywała 1:0, ale określanie go mianem grabarza futbolu jest niesprawiedliwe, bo Inter Mediolan, a później prowadzona przez niego AS Roma grały mimo wszystko dość atrakcyjną piłkę. Catenaccio rozpowszechniło się jednak w znacznie prymitywniejszej formie w całej włoskiej lidze i sprawiło, że długo uznawano ją za najnudniejsze rozgrywki świata. Jeszcze dziś można usłyszeć od niektórych kibiców, że nie oglądają Serie A, bo tam drużyny ryglują bramkę, co od dawna nie jest prawdą.

W 1970 r. nie byłem jeszcze dziennikarzem sportowym, ale zawziętym kibicem już, owszem, tak. Trudno zapomnieć mecze Górnika Zabrze z prowadzoną przez Herre-rę Romą. Po raz pierwszy i ostatni polski zespół awansował do finału europejskich rozgrywek, i to w niesamowitych okolicznościach.

W Pucharze Zdobywców Pucharów Górnik z takimi gwiazdami jak Włodzimierz Lubań-

ski, Hubert Kostka, Jan Banaś czy Jerzy Gorgoń eliminował kolejno Olympiakos Pireus, Glasgow Rangers, Lewskiego Sofia, aż wreszcie trafił na AS Roma. W Rzymie padł remis 1:1. Podobny wynik był na Stadionie Śląskim. W dogrywce obie drużyny strzeliły po bramce i Polacy schodzili do szatni ze spuszczoneymi głowami, sądząc, że w przypadku remisu decydowała (zarzucona już dzisiaj) reguła liczenia podwójnie bramek zdobytych na wyjeździe. Reguła rzeczywiście obowiązywała, ale nie podczas dogrywki, o czym zapomnieli zawodnicy, ich trener, telewizyjny sprawozdawca Jan Ciszewski, a za nim wszyscy kibice, łącznie ze mną.

Potrzebny był trzeci, dodatkowy mecz. Rozegrano go na neutralnym stadionie w Strasburgu. Znow padł remis. Obowiązywał wówczas przedziwny przepis, że w takim przypadku o zwycięstwie decyduje rzut monetą. Dziś do tego by nie doszło, sędzia zarządziłby serię rzutów karnych. Nigdy nie zapomnę napięcia, z jakim wpatrywaliśmy się w sędziego, i komentarza Jana Ciszewskiego: „Uwaga, rzucana moneta! Polska, Górnik! Proszę państwa, a więc sprawiedliwości stało się zadość!”.

Bufor bezpieczeństwa

Do wprowadzenia nowych przepisów nie skłonił działaczy nadmiar remisów ani tym bardziej

wydarzenia na stadionie Strasburgu. Była to bardzo przemyślana decyzja. O radę poproszono naukowców. Przeanalizowano 20 sezonów z 20 lig, w sumie – ponad 118 tys. meczów. Psychologowie i socjologowie doszli do wniosku, że świadomość wyższej nagrody za zwycięstwo zmieni mentalność zawodników. W chwilach zagrożenia zamiast bronić punktu, będą walczyli o trzy. Matematycy wyliczyli natomiast, że wprowadzenie reguły trzech punktów zmniejszy liczbę remisów prawie o połowę.

Nie wszystkie założenia naukowców się sprawdziły. Ludzkiej natury nie da się sprowadzić do formułek i wzorów. Okazało się, że bufor bezpieczeństwa, jakim jest 1 pkt. za remis, tkwi głęboko w głowach piłkarzy. Choć liczba remisów nie spadła tak bardzo, jak zakładali autorzy nowych przepisów, i tak mecze stały się atrakcyjniejsze, pada więcej goli, a wyniki 0:0 – przynajmniej w najlepszych rozgrywkach – stają się kiepsko ocenianą przez kibiców i fachowców rzadkością.

Ukarani na niebiesko

Wydaje się nam całkiem normalne, że za biskowe przewinienia piłkarze są karani przez sędziego żółtymi lub czerwonymi kartkami. Ten system dyscyplinowania zawodników wprowadzono podczas mistrzostw świata w 1970 r. i dobrze sprawdza się do dziś.

Na horyzoncie pojawia się możliwość wprowadzenia trzeciego koloru. Sędzia miałby w kieszonce kartkę niebieską. Niebieska kartka to coś pośredniego między żółtą a czerwoną. Zawodnik musiałby opuścić boisko na 10 minut. Takie czasowe wykluczenia znamy choćby z hokeja na lodzie czy piłki ręcznej.

Międzynarodowa Rada Piłkarska (International Football Association Board – IFAB), jedyny organ, który ma prawo zmieniać przepisy w futbolu (w futsału zresztą także), zapowiada, że wkrótce rozpocznie testowanie w wybranych rozgrywkach niebieskich kartek. Myślę, że nie jest to zły pomysł. Ileż to razy podczas transmisji piłkarskiego meczu sprawozdawca określa foul, że należy się za niego jeśli nie czerwoną, to przynajmniej pomarańczowa kartka. Teraz może będzie niebieska.

Gdy zaczynałem pracę w redakcji „Przeglądu Sportowego”, moja wiedza okazała się dalece niewystarczająca. Miałem szczęście, że starsi koledzy chętnie mi pomagali i wyjaśniali wiele zagadnień.

Nigdy nie zapomniałem lekcji u szefa działu piłkarskiego Grzegorza Aleksandrowicza, podczas której powiedział mi, że futbol zawdzięcza popularność prostocie i niezmienności reguł gry.

Zmarły w 1985 r. dziennikarz, nim zasiadł za klawiaturą maszyn do pisania, był piłkarzem, działaczem i sędzią. Jako pierwszy Polak poprowadził mecz eliminacji mistrzostw świata w 1953 r.

Młodziak bezkrytycznie tykał wszystko, co mówili starsi. Później zrodziły się pewne wątpliwości, zwłaszcza jeśli chodzi o prostotę piłkarskich przepisów. Spisane są w grubej księdze, nie cieńszej niż raport Najwyższej Izby Kontroli po wizycie w centrali Orleanu. Reguły zmieniają się często, wciąż dopisywane są do niej nowe rozdziały. A futbol i tak bije na głowę popularnością inne dyscypliny sportu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący, **Małgorzata Daniszewska**,
Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga,
Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła tytułów zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, **www.e-kiosk.pl**,
www.eprasa.pl, **www.nexto.pl**

Numer zamknięto: str. 1–16 – 20.03.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Dziwka wyglądał jak dziwka: miał na sobie srebrzysty stanik push-up ze sztucznymi perłami, podobne figi, pas do pończoch, czarne pończochy i szpilki na obcasie wyższym niż standardowy. Dziwka ukrył włosy pod blond peruką, usta pociągnął jaskrawoczerwoną szmin-ką, a rzęsy mascarą.

Dziwka jak to dziwka – zanim rozłożył nogi, próbował ustalić wysokość honorarium.

– Chciałbym załatwić – pisał źle ustawionym falsetem – robotę dla żony i ojca.

– To ty masz żonę? – zdziwił się klient.

– Mam – odparł dziwka – a ona nie ma pracy.

– A co potrafi? Też jest dziwka?

– Raczej nie. – Dziwka pokazał żółknące zęby w czymś, co miało być uśmiechem. – Zna się na nafcie.

– Zna się na nafcie, czyli potrafi zapalić lampę naftową? – zażartował klient, który uważał się za największego we wschodniej Europie specjalistę od naf-ty. – A ojciec? Jest dziwką czy zna się na nafcie?

– Zna się na prądzie elektrycznym. Chociaż dziwką też trochę jest. Prostytu-cję mamy w genach.

Klient się ucieszył. Dziwka był u niego dotychczas siedemdziesiąt jeden razy i za każdym razem dostawał honorarium, ale nigdy nie wspomniał, że chci-wość wynika z jego rodzinnej skłonności do kurwienia się.

– Taka rodzina to skarb – powiedział klient, choć wcale tak nie myślał. Miał się za normalnego człowieka i uważał, że normalny człowiek powinien gardzić dziwkami i dziwkarstwem. – Zaopieku-jemy się twoją żoną, przyjacielu – podjął wątek. – A i dla twojego ojca coś znaj-dziemy. Kurwa! – dodał, bo miał się za takiego, który cierpi na zespół Tourette’a, a cierpiący na zespół Tourette’a mie-li zwyczaj kłąć jak szewcy. Oraz nazywać rzeczy po imieniu: – Kurwo!

– Dobrze – zapiszczał dziwka. – Możemy przystąpić do rzeczy.

Zdjął figi i się wypiął.

Klient wykrzywił usta w grymasie obrzydzenia.

– Jednak się nie skuszę – westchnął. – Będziesz musiał dać mi coś innego. Co dziś dla mnie masz, przyjacielu?

– Nagranie, na którym słychać, jak oj-ciec premiera mówi całą prawdę o sobie i synu – pochwalił się dziwka. Był bardzo z siebie zadowolony.

Klient też był zadowolony.

– Kurwa – podkreślił to zadowolenie.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN, nadmorska patriotka lokalna, obśmiewa wybór gdańskiego arcybiskupa Wojdy na herszta episkopatu.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA, nieuleczalna warszawianka, nie ma czerwonego pojęcia, kim jest Wojda.



Senyszyn: – Wojda osiągnął to, co się nie uda-ło jego poprzednikom na gdańskim stolcu, choć ambicje mieli chyba jeszcze większe.

Wołk-Łaniewska: – Wy tam, w tym Trójmieście, macie szczególne szczęście do biskupów, odnoto-wuję.

– Fakt, że co jeden, to gorszy.

– Im głupszy biskup, tym lepiej dla wiernych. A jeszcze bardziej – dla niewiernych.

– Jak tak na to spojrzeć...

– Twoim faworytem był Gocłowski, jak pamię-tam?

– Jakim faworytem? Miałam z nim na pieńku, bo marzył o wydziale teologicznym na Uniwer-sytecie Gdańskim – i oczywiście, żeby być jego Wielkim Kanclerzem. To był rok 2001.

– O roku ów!

– Popsułam plany nie tylko Gocłowskiemu, ale i ówczesnemu rektorowi, bo chodzący słuchy, że w nagrodę za upodlenie uczelni miał dostać je-dynkę na gdańskiej liście AWS do sejmiku.

– To wiele nie stracił, AWS i tak nie weszła do sejmiku w 2001. W sumie oddałaś mu przysługę.

– Nie psuj mi tego pięknego wspomnienia.

– Już się zamykam.

– A ja opowiadam. Senat UG nie udzielił dosta-tecznego poparcia wnioskowi rektora o utworze-nie wydziału.

– Przez twoje knowania?

– A jak! Po mojej intensywnej antyteologicznej agitce profesorowie będący w senacie powiedzie-li, że jeśli doprowadzę do tajnego głosowania, będą przeciw, ale w jawnym się nie wychyla, bo Gocłowski trzęsie województwem. Senat, który zawsze miał posiedzenia w czwartek, tym razem był w środę, żeby Gocłowski dostał wydział teo-logiczny w prezencie na Boże Ciało. Nie dostał i w okolicznościowym kazaniu w oliwskiej kate-drze grzmiał z ambony, że dopuszczono do ma-nipulacji, czerwona gwiazda Senyszyn zażądała głosowania tajnego, a przecież wiadomo, że w taj-nym człowiek nie może wyrazić swojej prawdzi-wej opinii.

– Ależ oczywiście, że miał rację. Доверяй, но проверяй, jak zwykł powtarzać Ronald Reagan.



– Reagan?

– To była jedyna fraza, której nauczyli go po rosyj-sku, i zawsze ją powtarzał, jak widział Gorbaczowa.

– I Reagan, i Gocłowski mieli rację. W jawnym głosowaniu wydział by przeszedł. Niedopuszcze-nie do jego powstania uważam za podwójny suk-ces: mój i Uniwersytetu Gdańskiego.

– Podkoczyć Gocłowskiemu to była duża rzecz.

– Kiedy w 2008 r. odszedł na emeryturę, poli-tycy PO pisali oburzeni do papieża, żeby po cud-nym Gocłowskim nie dawał Głódzia. Na nie się to zdało, ale Głódziowi podpadli. Ja przeciwnie.

– No coś ty?

– W wywiadzie powiedziałam, że bardzo się dziwię katolikom, że z pokorą nie przyjęli papie-skiej decyzji, bo przecież każdemu należy się kre-dyt zaufania, a w ogóle to dobra zmiana, bo afery finansowe zostaną zastąpione przez alkoholowe, które są mniej kosztowne dla budżetu państwa.

– No właśnie, arcybiskup generał, przez nasz ty-godnik nazywany nieuprzejmie Sławoj „Flaszka” Głódź, cieszył się opinią ostrego zawodnika w tym zakresie. Chodziła swego czasu opinia po komu-chach, że to on lał w Kwacha wodę w drodze do Katynia. Acz słyszałam też pełne oburzenia spro-stowanie.

– Mianowicie?

– Jest absolutnie nieprawdziwym i wysoce uwła-czającym posądzenie, że pan prezydent Kwaśniew-ski z Jego Eminencją biskupem Głódziem pili wód-kę na pokładzie samolotu prezydenckiego. Oczywi-ście, pili whisky.

– W każdym razie w uznaniu za ten wywiad zo-stałam zaproszona do Opery Bałtyckiej na ingres z koncertem. Posłowie PO i PiS siedzieli gdzieś po kątach, ja po prawicy Głódzia, a Gocłowski po lewicy. Minę miał jak zbity pies.

– Sama bym usiadła przy Głódziu, żeby to zoba-czyć. Zmieniając temat: czy podoba ci się posłanka Sroka na czele komisji pegasusowej?

– Do gwiazd nie pofrunęła.

– Sroka, a jednak gęś.

– Niestety nie kapitołińska... Gierka słowna ładna, choć wielce nie poprawna politycznie.

– Mam się pokajać za niepoprawność?

– Skąd, też takie lubię. Jak był lex TVN i na sej-mowej komisji kultury wymądrzał się szef Krajo-wej Rady Radiofonii i Telewizji, niejaki Świrski, nie mogłam się oprzeć myśli: nomen omen.

– To prawda, że Świrski ma nazwisko wysoce przystające. Wracając do Sroki: Jarosław pod peł-nymi żagłami minął ją prawym halsiem i nawet nie zwolnił.

– Bardzo mnie ubawiło odkrycie Gazety.pl, że „Kaczyńskiego przygotowywano na komisję śledczą”. Wielka szkoda, że członków komisji nikt nie przygotował.

– Mnie bardziej ubawił komunikat: „Kaczyński był na lekach, jak się dowiaduje »Rzeczpospolita«, stąd opanowanie podczas ośmiogodzinnego prze-słuchania”. Wielce ciekawa, od kogóż to „Rzepa” „się dowiedziała”...

– A czemu akurat to cię ciekawi?

– Obstawiam, że sami na to wpadli, bo forma prezesa rzeczywiście odbiegała od obecnej normy, tylko uznali, że napisać tak po prostu nie wypada. Nawiasem mówiąc, sugerowanie, że nagła witalność polityka na co dzień niezbyt żwawego to efekt far-makologii, nie jest polską specjalnością. „Washing-ton Times” – to taki prawacki brukowiec, nie mylić z „Washington Post” – też ostatnio napisał, że Biden był na lekach podczas swego orędzia o stanie pań-stwa. Ale amerykański dziennik nie napisał niezo-bowiązująco, że „się dowiaduje”, tylko znalazł w tej sprawie eksperta.

– Eksperta od Bidena?

– I nie tylko. „Psychiatrę z doświadczeniem w le-czeniu starszych pacjentów cierpiących na demen-cję” w postaci dr Carole Lieberman, znanej głównie z promowania prawackich teorii spiskowych. Dr Lieberman nawet zdefiniowała lek: „Są to objawy typowe dla osób przyjmujących adderall lub jaką-kolwiek amfetaminę”. Adderall to składnik leku sto-sowany przy leczeniu ADHD. Zmieniając temat: widziałas mema z szafą?

– Chyba musisz podać więcej szczegółów.

– Mem z szafą święci triumfy na Facebooku – moim zdaniem całkowicie słusznie. Słuchaj: „XXI wiek. Mężczyzna zakłada czarną sukienkę, wchodzi do szafy, wywiesza szalik. Drugi mężczy-zna przychodzi, klęka przed szafą i opowiada, co złego ostatnio zrobił. Chłop z szafy mu przebacza i za karę każe powiedzieć wierszyk. Następnie puka w szafę i ten drugi chłop idzie do domu, ale za miesiąc wraca, bo obiecał poprawę, a znowu był niegrzeczny. Czego nie rozumiesz?”

– Wiary, że klecha pedofil może odpuścić dziec-ku, które zgrzeszyło myślą o odebraniu koledze cukierka.

– Skoro już jesteśmy przy wierze i jej nierozu-mieniu: serdecznie zapraszamy wszystkich na Dni Ateizmu, które odbędą się w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu 87/89 od piątku do nie-dzieli 22–24 marca. W piątek o siódmej wieczorem będę dyskutować z prof. Joanną Hańderek o anty-natalizmie.

– A ja w sobotę o 18.30 z Bożeną Przyłuską o szansach na świeckie państwo.

– I jeszcze zapraszamy na Marsz Ateistów i ścieżkę Łyszczyńskiego w sobotę. Ruszamy spod Mickiewi-cza o godz. 14.30, ścinamy na rynku Starego Miasta godzinę później.

– Przyjdźcie i bluźnijcie z nami.

– Amen.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 291



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI